



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 21 marca 1954 r.

Nr 12 (208) Rok V

Czas zwycięskich przemian

Od chwili kiedy na drodze prowadzącej z Krakowa do Mogiły został wysadzony w powietrze stary fort austriacki aż do momentu, w którym popłynęła pierwsza stal z huty im. Lenina w Nowej Hucie pod Krakowem — minęło niewiele lat. Spytajmy każdego z nas — czym jest czas, odpowie — sprawdzianem nowych wartości. Nie w bezcelowych dociekania, właściwych ludziom, którym świat usława się spod nóg, nie w rentierskiej wygodzie sceptycznego oceniania zjawisk, lecz w przemianach społecznych odnaleźliśmy sens naszych dni. „Fizjologowie jedynie różnymi sposobami objaśniali świat — pisał Karol Marks w 1845 r. — chodzi jednak o to, aby go zmienić”. I choć minęło niespełna pięć lat od chwili, gdy nieznan z nazwiska saper podpalił lont, aby wyburzyć mury starego fortu pod Krakowem, mury zagrażające drodze ku przyszłości, a poza nami już — epoka dokonania i przemian. Nie wahajmy się użycia wielkich słów, zasłużył na nie nasz czas, zasłużyliśmy i my. Tworzymy bowiem epokę, której sens wyraża się w nadaniu światu nowych wartości drogą koniecznych rewolucyjnych przemian społecznych, zaś czas staje się w tej naszej walce — sprzymierzeńcem. Jeszcze tak niedawno satyrycy pokpiwali pisząc o Krakowie: „Cesarzu, cesarzu, twój Kraków mówi — nie!”, a dziś gdy na wschód od miasta biela się dymy Nowej Huty i czernią szkielety stalowych konstrukcji hal kombinatu, nasz Kraków mówi — tak. O przemianach wyśmiewanej ongiś stolicy „Galicji i Lodomerii”, relacjonował na Zjeździe tow. Walenty Tłitkow, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, a słuchający jego słowa delegaci Krakowa: Narcyza Baldys, działaczka partynia, Franciszek Węclawek z huty im. Lenina, murarz Józef Bek, czy Józefa Jelonek z „Semperitru”, wstawionego walka odczuwali aż nadto wyraźnie, że stało się to za sprawą ich pracy. „Wielu ludzi przywykło niestety patrzeć na Kraków — jeden z najstarszych i najważniejszych ośrodków kulturalnych, naukowych kraju — oczyma czasów Franciszka Józefa, albo posługiwać się w ocenie zjawisk przykładami pierwszych lat po wyzwoleniu. A Kraków przecież się zmienił i zmienia się stale” — podkreślił z trybuny zjazdowej tow. Tłitkow.

Zmieniła się i zmienia cała Polska, przykład Krakowa nie jest przypadkiem odosobnionym. Celem naszych czasów jest wyrównanie przepaści pomiędzy poszczególnymi polaciami kraju, przekreślenie raz na zawsze absurdalnego, lecz w praktyce mającego doniosłe konsekwencje podziału na „lepszą” i „gorszą” Polskę, na Polskę A czy Polskę B.

Zródłem tych przemian jest rewolucja ludowa. O jej charakterze mówił na wstępie sprawozdania Komitetu Centralnego tow. Bolesław Bierut. Proces przeobrażeń prowadzących do rewolucji socjalistycznej kształtował się od pierwszych chwil wyzwolenia. Przejęcie władzy przez masę pracującą, reforma rolna oraz wyzwalanie kraju spod okupacji hitlerowskiej były głównymi zadaniami pierwszego okresu działania władzy ludowej. Odegrały one olbrzymią rolę w procesie odrywania ludności pracującej od burżuazji i kształtowania jego świadomości społecznej. Decydujący wpływ na przebieg tych procesów zachodzących w społeczeństwie wywarł nieustanny wzrost klasy robotniczej i pogłębiające się jej znaczenie polityczne. Został przygotowany podstępny grunt pod budowę państwa socjalizmu, dzięki pogłębiającemu się sojuszowi robotniczo - chłopskiemu, budowę, której program został dokładnie sprecyzowany na Kongresie Zjednoczeniowym. „Procesy przeobrażeń przygotowujących tę budowę kształtowały się i dojrzewały znacznie wcześniej — niemal od pierwszych dni naszego wyzwolenia” — powiedział tow. Bierut.

Rewolucja ludowo - demokratyczna zaczęła przerastać w rewolucję socjalistyczną. „Druga utrwala dzieło pierwszej. Walka i tylko walka rozstrzyga, w jakiej mierze udaje się drugiej wyjść poza ramy pierwszej” — pisał w 1921 r. Lenin („Dziela Wybrane”, t. 2, str. 885). Walka toczyła się nie tylko o przemianę struktury społeczno - gospodarczej naszego kraju.

Andrzejów i Lublin, Wierzbica i Kędzierzyn, Nowa Huta i Warszawa — jedno z wielu nowych budowl przemysłowych, które zakładał Plan — miały i mają na celu nie tylko wyrównanie założeń i przebudowę ustroju gospodarczego, lecz także przemianę świadomości społecznej. W swej istocie politycz-

nej wielkie budowie socjalizmu wyrażają najgłębszą treść sojuszu robotniczo - chłopskiego, bez którego nie do pomyślenia byłoby dalsze utrwalenie zdobyczy rewolucyjnych. Są one środkiem prowadzą-

rewolucja, którą pogłębiać będą wskazania, ustalone na Zjeździe.

Podstawowym zadaniem, które Zjazd postawił przed całym narodem jest wydatne podniesienie życiowego poziomu mas pracujących.



Fot. CAF

cym do przemian, bazą, która decyduje o socjalizacji kraju.

Dlatego też podstawowym zadaniem Drugiego Zjazdu PZPR stało się ustalenie konkretnych wskazań na okres najbliższych lat. Polityka koncentracji sił na socjalistycznym uprzemysłowieniu kraju była nieodzownym warunkiem przezwyciężenia tego zacofania, na jakie Polskę skazały rządy szlachty i burżuazji. Zgodnie z założeniami Planu Sześcioletniego uprzemysłowienie doprowadziło do bardziej równomiernego rozmieszczenia sił wytwórczych kraju i do nasycenia przemysłem krajowym i do zaniechania pod względem gospodarczym terenów. O ile przedtem olbrzymia część przemysłu skupiała się w górno i dolnośląskim okręgu przemysłowym, w okręgu łódzkim, w Warszawie i częściowo w okręgu poznańskim i bydgoskim, o tyle geografia ekonomiczna Polski uległa daleko idącym zmianom. Na obszarach dawnej Polski B poważnie rozwinął się rzeszowski - sandomierski okręg przemysłowy, rozwija się lubelski okręg, jak również zostało zapoczątkowane uprzemysłowienie Białostoczniny. Wybudowano na tych terenach 21 nowych obiektów przemysłowych, a w ślad za tym idzie i rozbudowa szkolnictwa. Te sprawy wiążą się nierozdzielnie. Zbudowano 109 i wyremontowano 75 szkół podstawowych, 18 szkół średnich zawodowych i ogólnokształcących, w pałacu Branickich zorganizowano pierwszą wyższą uczelnię na tych ziemiach — Akademię Medyczną — chlubę Białostoczniny, do której uczęszcza 800 studentów. Zorganizowano 187 bibliotek na wsi. 1270 punktów bibliotecznych, 256 świetlic, 65 kin gromadzkich. Powstaje na gruzach nowe socjalistyczne miasto Białystok, w którym zbudowano wiele nowych budynków administracyjnych i około 3800 izb mieszkalnych. W tymże okresie rozwinął się wydatnie przemysł w okręgu warszawskim i łódzkim, w toku budowy znajduje się kujawski okręg przemysłowy. Na południu Polski rozbudowują się okręgi przemysłowe: krakowski, którego „stalowym sercem” będzie Kombinat Metalurgiczny im. Lenina oraz okręg częstochowski, który w coraz większym stopniu staje się okręgiem kopalnictwa rud żelaza i czarnej metalurgii. Na Ziemiach Odzyskanych, gdzie przejęliśmy większość zakładów niezdanych do produkcji lub całkowicie zniszczonych, dziś przemysł ma czterokrotnie większą wydajność aniżeli w roku 1947. Powstają nowe kopalnie, huty, zakłady przemysłu lekkiego, stocznie. Kraj, który nie miał fabryk samochodów — ma ich dzisiaj trzy, kraj, który sprowadzał obrabiarki — może je już dziś eksportować, kraj, który budował statki w obcych stoczniach — chlubi się dziś flotą zbudowaną na pochylniach Gdańska, Gdyni, Szczecina, kraj, w którym było 8 milionów zbędnych rąk do pracy na wsi — wysunął się na jedno z przodujących miejsc w Europie. Zródłem tych przemian jest

Uprzemysłowienie kraju nie może być bowiem celem samym w sobie, jest środkiem prowadzącym do podniesienia stopy życiowej. Zbudowanie szeregu obiektów przemysłowych, kluczowych dla rozwoju naszej gospodarki narodowej sprawiło, że w chwili obecnej podniesienie życiowego poziomu narodu staje się możliwe jak najszybciej do zrealizowania. Uzyskanie w ciągu dwóch lat wzrostu realnych płac robotników i pracowników umysłowych, oraz dochodów chłopów pracujących o 15—20 proc., zwiększenie obrotów towarowych o 25 proc., oddanie do użytku w 1955 r. w miastach i osiedlach robotniczych o 20 proc. izb więcej niż w 1953 r., znaczne zwiększenie remontów budynków mieszkalnych, rozwój urzędów komunalnych, wydatne zwiększenie urządzeń socjalnych i kulturalnych przy jednoczesnym dalszym rozbudowaniu szkolnictwa,

polepszenie warunków bezpieczeństwa i higieny pracy oraz ochrony zdrowia — oto te wielkie i odpowiedzialne zadania, jakie wysunął Zjazd.

Jakie środki uznał Zjazd za konieczne i pomocne w realizowaniu tych zadań? Biorąc ogólnie — w dużym skrócie — widzimy dwa podstawowe czynniki, dzięki którym zadanie podniesienia poziomu życiowego mas pracujących miast i wsi stanie się faktem dokonanym — będzie to z jednej strony podniesienie wydajności naszego rolnictwa, zaś z drugiej — obniżka kosztów własnych, obowiązująca zarówno produkcję, jak i inwestycje. Mówiąc o tych zagadnieniach tow. Minc użył przenośni, która w dobitny sposób obrazuje i charakteryzuje stan istniejący: odbyliśmy szybki marsz naprzód i dokonaliśmy wielkiego historycznego skoku, pewne podstawowe oddziały w ciągu tego marszu wysunęły się poważnie naprzód, inne zaś pozostały w tyle. Ażeby kontynuować zwycięsko nasz marsz, trzeba dokonać nowego przegrupowania sił i środków na odpowiednich odcinkach i trzeba bezwzględnie podciągnąć do przodu pozostające w tyle ważne oddziały.

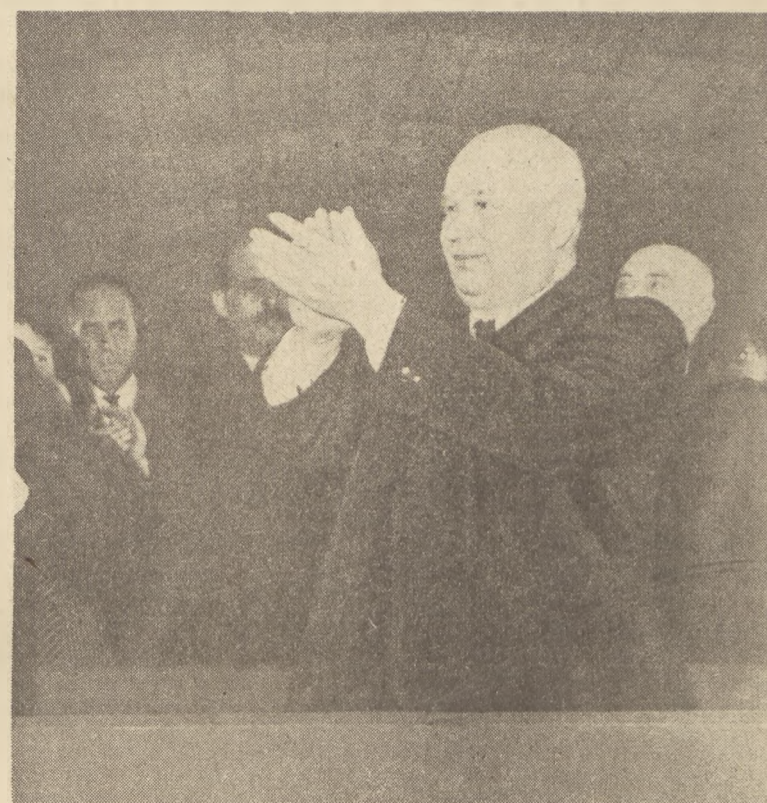
Sens tej przenośni jest jednoznaczny. Podczas gdy w okresie 1950—1953 produkcja przemysłowa wzrosła o 118 proc., produkcja rolna wzrosła tylko o 10 proc. Wzrost przemysłu odbywał się wyłącznie na bazie socjalistycznej, podczas gdy rolnictwo w pierwszych latach Planu Sześcioletniego rozwijało się głównie na bazie gospodarki indywidualnej. Usunięcie dysproporcji między rozwojem przemysłu a rolnictwem jest koniecznym warunkiem dalszego rozwoju gospodarki narodowej, gdyż dysproporcja ta jest rażąca i nosi dość poważny charakter, świadcząc o nadmiernym pozostawianiu w tyle rolnictwa. Tym więcej, że wzrost produkcji rolnej nie tylko nie osiągnął zaian Planu Sześcioletniego, lecz wykazał szereg wahań i załamań. Po stosunkowo znacznym wzroście produkcji w 1950 r., nastąpił spadek w 1951 r., stabilizacja tego stanu w roku 1952 i dopiero w 1953 r. nastąpił wzrost pozwalający tylko nieznacznie przekroczyć globalną produkcję z roku 1950. Od okresu IX Plenum do Zjazdu, Partia i Rząd poczyniły wiele kroków dla poprawienia tego stanu rzeczy. Jest to początek wielkiej pracy. Podniesienie produkcji rolnej może być osiągnięte tylko wtedy, jeśli w oparciu o słuszne zarządzania, o wzmoczone bodźce materialne, o wzmoczoną pomoc produkcyjną — sprawa przebudowy rolnictwa ogarnie całe społeczeń-

stwo i kiedy za stan rolnictwa będą się czuli odpowiedzialne wszystkie ognie władzy ludowej.

„Jeżeli chcemy podnieść naprawdę poziom naszego rolnictwa w najkrótszym czasie — powiedział w sprawozdaniu Komitetu Centralnego tow. Bolesław Bierut — to musimy podjąć prawdziwą bitwę, tak jak podjęliśmy w swoim czasie bitwę o uprzemysłowienie kraju, bitwę, której pierwszy etap wygraliśmy”.

Szerzej o tych zagadnieniach mówił na Zjeździe tow. Zenon Nowak, podkreślając, że osiągnięcia

rolnictwa jako całości” — oświadczył tow. Zenon Nowak. Poszerzenie arealu ziemi ornej i łak z jednej strony, zaś z drugiej dalsza mechanizacja rolnictwa, wprowadzanie nowych metod pracy, wyższa kultura rolna będą tymi środkami, które przy pomocy państwa — pomocy ekonomicznej i politycznej — spowodują poprawę stosunków. W okresie pierwszych czterech lat Planu Sześcioletniego rozwinął się na wsi ruch spółdzielczości produkcyjnej. O ile w roku 1949 liczba spółdzielni produkcyjnych wynosiła tylko 243, a liczba zrzeszonych w spółdzielniach zaledwie 6 tysięcy,



Fot. W. Sławny

naszego socjalistycznego przemysłu pozwalają w pełni na zajęcie się problemami rolnictwa. Aby zapewnić ludności i gospodarce narodowej szybszy wzrost poziomu zaopatrzenia w produkty rolnicze musimy w ciągu lat 1954 i 1955 podnieść zbiory czterech zbóż do ok. 12 mln. ton, a w hodowli osiągnąć poziom ok. 8 mln. sztuk bydła, ok. 11 mln. sztuk świń, blisko 4 i pół mln. sztuk owiec, uzyskiwać przeciętny roczny udój ok. 1800 litrów mleka od krowy, zapewnić poważny rozwój upraw roślin przemysłowych i okopowych, warzywnictwa i sadownictwa. „Produkcja zbóż była i pozostaje u nas podstawą i centralnym problemem rozwoju

to w końcu r. 1953 liczba spółdzielni produkcyjnych przekroczyła 8 tysięcy, a liczba chłopów w spółdzielniach doszła do 200 tys. Użytki rolne zajmowane przez spółdzielnie produkcyjne stanowią już ponad 9 proc. całości użytków rolnych zajmowanych przez gospodarstwa chłopskie. W roku 1953 powstało ponad 3 tys. spółdzielni produkcyjnych. Doświadczenie wskazuje, że takie tempo rozwoju spółdzielczości produkcyjnej można przyjąć w przewidywaniu dla okresu najbliższych dwóch lat. Należy zwrócić szczególną uwagę na bardziej równomierny niż dotąd rozwój spółdzielczości produkcyjnej, na większe jej rozpowszechnienie w województwach centralnych i wschodnich, na to, by spółdzielnie produkcyjne nowozałożone obejmowały większą ilość członków gromady, a stare pomnażały liczbę swych członków.

Natomiast budownictwo nasze uzyskuje w najbliższych latach jakby pewien okres spokojniejszego oddechu. Wykorzystać go się powinno na zlikwidowanie żywiołowości w planowaniu inwestycji, na osiągnięcie wzrostu wydajności pracy w budownictwie o 16 proc. w roku 1955 w stosunku do roku 1953 i obniżkę kosztów budownictwa w latach 1954—1955 o około 7 proc. Nastąpi zmiana struktury nakładów inwestycyjnych. Nakłady inwestycyjne na rozwój przemysłu artykułów powszechnego spożycia winny wzrosnąć o ok. 25 proc., na budownictwo komunalne o 30—35 proc. oraz na budownictwo urządzeń socjalnych i kulturalnych o ok. 35 proc. Lata te muszą stać się ponadto przełomowymi w dziedzinie obniżki kosztów własnych w całej gospodarce narodowej. Rozmiary osiągniętych w związku ze zniżką kosztów własnych oszczędności mają podstawowe znaczenie zarówno dla tempa wzrostu dochodu narodowego, jak i dla możliwości inwestowania, jak też dla rozmiarów zaspokojenia bieżących potrzeb społeczeństwa. Bez osiągnięcia tej obniżki kosztów własnych nie może nastąpić przewidywany wzrost dochodu narodowego, bez tej obniżki niemożliwe jest zrealizowanie podniesienia stopy życiowej mas pracujących. Mamy w latach 1954—1955 osiągnąć z tytułu tej obniżki oszczędność, która łącznie wyniesie ponad 20 miliardów złotych, stanowiących ponad 12 proc. funduszu plac, jaki w tym okresie zostanie wypłacony w gospodarce socjalistycznej. Obniżka kosztów własnych, jak ją określił tow. Minc



Fot. W. Sławny

(Dokończenie na str. 2)

Czas zwycięskich przemian

(Dokończenie ze str. 1)

STEFAN KOZICKI

NA MARGINESIE DYSKUSJI ZJAZDOWEJ

Biała plama

to „żelazne prawo, którego nikomu i nigdy nie wolno łamać“.

Nie należy jednak z tych rozważań wyciągać fałszywych wniosków prowadzących do stwierdzenia, że tempo rozwoju gospodarczego słabnie, że tempo uprzemysłowienia zostaje zahamowane, że podniesienie stopy życiowej może być osiągnięte jedynie kosztem budownictwa socjalistycznego. Wyraźnie podkreślił to w referacie sprawozdawczym Komitetu Centralnego tow. Bierut mówiąc: „Nowe rozstawienie sił i środków, które obecnie stosujemy w naszej polityce gospodarczej, zwrot w kierunku koncentracji na podźwignięcie rolnictwa, polega bynajmniej nie na osłabieniu naszego wysiłku w kierunku rozwoju przemysłu środków wytwórczości, a na dalszym stałym jego rozwoju przy jednoczesnym wykorzystaniu stworzonej przez nas bazy dla pomocy rolnictwu, dla szybszego rozwoju przemysłu środków konsumpcji i szybszej rekonstrukcji innych działów gospodarki narodowej“. Równomierność i harmonijność wzrostu wszystkich gałęzi przemysłu, pchnięcie rolnictwa po linii wstępującej — oto wskaźniki przemian. Przemian, które w konsekwencji przyniosą zaspokojenie potrzeb i wzrost poziomu bytowego społeczeństwa.

*

Nasze uwagi nie mają na celu wyczerpującego omówienia problematyki Zjazdu, jakże bogatej i dającej wiele do przemyślenia, ich celem jest wskazanie na jeden z głównych nurtów Zjazdu — dalszą przemianę w strukturze gospodarczo-społecznej naszego kraju.

Czas przemian nakłada obowiązki i wskazuje jednocześnie na romantyzm naszych czasów. „Plac wielkiej budowy“, jakim jest Polska od przeszło czterech lat, kształtuje na-

szą wyobraźnię twórczą i dlatego dla nas, ludzi pióra, ludzi frontu ideologicznego, nie obojętne są przemiany w strukturze społeczno-gospodarczej kraju warunkujące przemianę świadomości społecznej. Nakłada to na nas wzmożone obowiązki tym usilniej pracy nad pogłębieniem wyrazu artystycznego, a co za tym idzie i światopoglądowego naszych dzieł. Mówił o tym na Zjeździe tow. Leon Kruczkowski wskazując na fakt, że partia, jej nauki i wskazania są wielką szkołą budzenia niezbędnego dla twórcy poczucia osobistej odpowiedzialności za budowanie socjalizmu w Polsce. Rozwój życia narodu pomógł wielu wybitnie utalentowanym twórcom wyzwolić się z obciążań przeszłości, z nalogów jałowego estetyzmu i rzekomej apolityczności, pomógł zdobyć nową świadomość, nową wiedzę o życiu, nową postawę twórczą. „Procesy tego rodzaju nie należą do łatwych — powiedział tow. Kruczkowski. — Trudności największe zaczynają się tam, gdzie twórca podejmuje pracę nad artystycznym wyrażeniem tych praw i zjawisk, czyli tam, gdzie staje przed nim zagadnienie właściwej metody twórczej. Usilna walka o przyswojenie sobie pojęć estetyki marksistowskiej jest dla nas pisarzy zarówno partyjnych, jak i bezpartyjnych sprawą decydującą w spełnieniu zadań twórczych, jakie stawia przed nami nasza współczesność i cała wielka problematyka narodu budującego socjalizm“.

Czas przemian zobowiązuje pisarzy do tym większych wysiłków. Ukazać tę drogę, przybliżyć ją do świadomości czytelnika — oto zadanie najprostsze, lecz jakże odpowiedzialne! A mieści się ono w ukazaniu czasu zwycięskich przemian.

Z DYSKUSJI ZJAZDOWEJ

O silniejszą więź teorii z praktyką

Ogrom zadań, jakie stawia przed partią i całym narodem II Zjazd naszej partii, wysuwa bardzo ostro sprawę ideologicznego uzbrojenia całej partii i od skomplikowanych potrzeb budownictwa socjalistycznego, i od strony wzmocnienia walki ideologicznej przeciwko tym wszystkim wrogim elementom, które ze wsiekleścią i wzmoczoną walką spotykają nasz program budowania socjalizmu w Polsce.

Tym odpowiedzialniejsze zadania stają przed naszym frontem ideologicznym, tym odpowiedzialniejsze zadania stają przed naukami społecznymi, które stanowią jego część składową. Znaczenie nauk społecznych dla frontu ideologicznego, w szczególności znaczenie takich dyscyplin jak filozofia, ekonomia, historia, teoria państwa i prawa — polega na tym, że tworzą one teoretyczny fundament naszego frontu ideologicznego. Walka ideologiczna zarysowuje się też w tych dyscyplinach szczególnie ostro, a kierunek jej rozstrzygnięcia posiada duże znaczenie dla rozwoju całego frontu ideologicznego. Dlatego szczególnie ważne jest twierdzenie, że w okresie od I Zjazdu nasza partia osiągnęła w tej dziedzinie duże sukcesy, które są wynikiem i odbiciem rozwoju socjalizmu w naszym kraju, rozwoju ofensywy ideologicznej naszej partii oraz bezpośredniej pracy naszej partii w tych gałęziach nauki. Nieocenioną pomocą, która ogromnie przyspieszyła rozwój nauki marksistowskiej w Polsce, był wzór nauki radzieckiej i oraz bezpośrednie oddziaływanie towarzyszy radzieckich, specjalistów pracujących w naszych uczelniach i instytucjach.

(...) Młoda marksistowska nauka społeczna w naszym kraju ma już szereg osiągnięć, jednak w jej rozwoju zaznaczyło się niebezpieczeństwo oderwania się od potrzeb praktyki, co świadczy o tym, że nie potrafiliśmy rozwiązać centralnego zagadnienia, związanego z kierunkowością rozwoju naszej nauki. Teoria oderwana od życia, od praktyki jest siostrą samską walkiego praktycyzmu, popiera go i pobudza, odrzucając ludzi praktyki od bezpodłnej teorii. Jest to więc zjawisko szczególnie niebezpieczne i wymagające ostrego środka zaradczego.

Zadając wiązania teorii z praktyką partia zada w pierwszym rzędzie wiązania teorii z praktyką ekonomiczną i politycznego rozwoju naszego kraju ku socjalizmowi. To znaczy, że teoria — w szczególności nauki społeczne — winna zająć się przede wszystkim zagadnieniami wynikającymi z tego rozwoju, dać rozwiązania tych problemów. Ujmujemy to jako postulat, by nauki społeczne uogólniały teoretycznie doświadczenia okresu przejściowego u nas w kraju, by odkrywały jego cechy specyficzne, tworząc w ten sposób podstawy dla świadomego przyspieszenia naszego rozwoju.

W chwili, kiedy oddajemy numer do druku, obrady Zjazdu trwają. Artykuły i sprawozdania ze Zjazdu zamieścimy w następnych numerach.

Czas przemian zobowiązuje pisarzy do tym większych wysiłków. Ukazać tę drogę, przybliżyć ją do świadomości czytelnika — oto zadanie najprostsze, lecz jakże odpowiedzialne! A mieści się ono w ukazaniu czasu zwycięskich przemian.

Wjechałem do Białegostoku z zadaniem wygłoszenia prelekcji pt. „Rozwój życia kulturalnego w Polsce Ludowej“. Między materiałami do prelekcji wziętymi przeze mnie w teczkę spoczywającej z brzęgu wygodnego siedzenia wagonu II klasy, znajdowała się cyfrowa analiza osiągnięć w upowszechnieniu kultury, osiągnięć wspaniałych, świadczących m. in. o tym, że sam jeden „Artos“, biedny, wysmiewany bez przerwy przez felietonistów — zdobył tylu widzów dla swoich imprez, ile ich miały w ogóle wszystkie imprezy artystyczne w sanacyjnej Polsce.

Ale z tych wielkich, idących w miliony danych cyfrowych, po bliższym zanalizowaniu ich pod kątem widzenia potrzeb kulturalnych mieszkańców Białegostoku i Białostoczczyzny wynikało, że o ile w woj. centralnych i na Ziemiach Zachodnich procent czytelników, korzystających z bibliotek w stosunku do ogółu ludności wynosi od 8 do 18 procent — to w woj. białostockim spada do 2 procent zaledwie. Podobnie, jeśli w większych miastach jeden obywatel odwiedza teatr przeciętnie 5 razy do roku, to w Białymstoku — zaledwie 2 razy. To samo z rozmieszczeniem bibliotek. To samo z ogólnie biorąc — tzw. imprezami artystycznymi. Bo o ile w woj. stałino-grodzkim na wieś przypada 10 proc. imprez a na Ziemiach Zachodnich od 10 do 13 — to w Białostoczczyźnie zaledwie 2 procent... *

Wojewódzki Komitet Frontu Narodowego w Białymstoku rozesłał na mój odczyt aż 600 zaproszeń, mimo iż sala, w której się odbywał, pomieściła

mogła niewiele ponad 300 osób. Podziwiałem więc przezorność organizatorów: licząc z góry, że przynajmniej połowa nie przyjdzie. Lecz kiedy sprawdziłem po prelekcji ilość zaproszeń odebranych przez woźnego u wejścia (a miał ich aż 27) nie chwaliłem już przezorności organizatorów. Aby zapewnić frekwencję na zasadzie asekuracji „od wypadku“ — powinni rozesłać przynajmniej 3000 zaproszeń... Po chwili otrzymałem pocieszającą informację. Na poprzedni odczyt organizowany w tym samym miejscu, przyszło tylko 10 z zaproszonych osób. I znów zacząłem, ceniąc organizatorów mojej prelekcji.

Zapyta może ktoś z czytelników: Czy warto było strzepić sobie język dla 27 słuchaczy?

Słuchaczy było więcej. Prawie cała sala. Lecz słuchacze ci stanowili — niespodziankę. Chłopcy 16—18 letni, 16—18 letnie dziewczęta, szwędający się każdego wieczoru po znaczniejszych, oświetlonych ulicach; młodzi robotnicy z hoteli robotniczych; uczniowie szkół zawodowych... Wszyscy nie mieli zaproszeń. Ale już na godzinę przed rozpoczęciem imprezy tłoczyli się w holu klubu. Przeganiani przez woźnych i personel, wracali po kilku minutach.

Nie czekali wprawdzie na odczyt. Zgłębia ich podawana z ust do ust wieść (impreza rozplakatowana nie była) o „części artystycznej“. Odczyt traktowali jak kwarantannę do tego raj. A więc dyskusji nie było. Ale była — mówiąca o wiele więcej niż nie jedna z góry przygotowana dyskusja — żywa reakcja w czasie wygłaszania odczytu.

Patrzając na młodzież tłoczącą się przed zamkniętymi drzwiami klubu,

ro na Mazurach, natomiast nie bada się rzeczy najistotniejszych, to musimy przewyciężyć ten stan rzeczy.

Nie znaczy to, aby pracownicy nauki nie mieli wyników. Tym nie mniej nasz front nauki o przyrodzie żywej jest słaby. Powodem tej słabości było karygodne roczne opóźnienie powiązania nauk agrobiologicznych, biologicznych, rolniczych i medycznych w sieć współpracujących placówek Akademii. Spowodowało to oderwanie nauk biologicznych od medycznych i rolniczych. Opóźnienie stworzenia placówek własnych Akademii w zakresie nauk medycznych i rolniczych, a konieczne dla postępu rolnictwa i służby zdrowia, przede wszystkim w zakresie genetyki i fizjologii człowieka, zwierząt i roślin, jest słabością naszej nauki, świadcząca o ogólnej słabości frontu nauki w zakresie badania przyrody żywej. Tutaj można powiedzieć jeszcze, że dopiero dyskusja spowodowana przez IX Plenum Partii ruszyła tę sprawę z miejsca. Myślę, że szczególne zadania stawia przed naukami o przyrodzie żywej a zwłaszcza rolniczymi II Zjazd, w związku z podniesieniem dobrobytu i zacieśnianiem sojuszu robotniczo-chłopskiego. Urzeczywistnienie uchwał Zjazdu w tym względzie wymaga wielkiego wzmocnienia badań naukowych celem wyboru kluczowej problematyki. Badania te będą dotyczyły zagadnień kompleksowych, którym podołać będzie mogła współpraca znawców zwierząt i roślin, ich życia i rozwoju, a wraz z nimi znawców gleby od strony jej składu chemicznego i zamieszkujących ją zwierząt, wraz ze specjalistami melioracji; obok nich zaś ekonomistów, znawców gospodarki wiejskiej i prawników specjalistów od prawa rolnego, problemów spadkowych w spółdzielniach itd.

Właśnie przed Akademią, jako naczelne zadanie winno stanąć koordynowanie tych badań — jako najpoważniejsze zadanie nauki polskiej. Akademia — jak mówiłem — to jakby jeden wielki instytut o wielu bardzo różnych specjalnościach pracowników. Dlatego to właśnie ona sięgająca przecież i do kadry uniwersyteckiej może i powinna skoordynować zadania, które pomogą narodowi i partii zrealizować uchwały II Zjazdu, podnoszące dobrobyt i utrwalające sojusz robotniczo-chłopski. To musi być centralny front walki w najbliższym czasie, front walki naukowej.

(...) Chciałbym jeszcze podkreślić tutaj na zakończenie, iż zbliżamy się, pracownicy naukowi, coraz bardziej do naszych techników, racjonalizatorów, zbliżamy się do naszych chłopów spółdzielców, samodzielnich pracujących gospodarzy, do PGR-ów w ich poszukiwaniu naukowych metod, ale nie ma jeszcze tego swobodnego wyjścia całej naszej nauki na szerokie pole praktyki, tego wyjścia, które jest źródłem niewyczerpanym poznania naukowego i kształcenia nowych sił naukowych. Dlatego też chcę, aby walka o nowe siły, nowe kadry naukowe była przez nas zwycięsko przeprowadzona, musimy skupić uwagę szczególną na zagadnieniach upowszechnienia wiedzy.

(Z przemówienia tow. Stefana Żółkiewskiego, sekretarza naukowego Polskiej Akademii Nauk,

awanturującą się z woźnym-służbi-
stą („Nie macie zaproszeń? To wójt do domu!“) pomyślałem sobie, że jest wielka potrzeba kultury na tej białej plamie — ale że z rozdzielnikiem na nią coś nie tak, jak trzeba...

Zdarza się, że w mieście X brakuje np. oleju, a w sąsiednim mieście można dostać tylko olej. Taki brak oleju w głowach planistów od handlu można stosunkowo łatwo odrobić: przetrzuca się szybko towar z miejsca na miejsce, przed sklepami formują się ogniki, potem nikt. Rynek został nasycony olejem.

Inaczej z brakami w planowaniu kulturalnym. Tu samo zrużenie chociażby jak największej ilości towaru — nie wystarczy. Trzeba go zareklamować, nauczyć odbiorcę posługiwania się nim, niejednokrotnie łapać przechodniów na ulicy za kołnierze, wciągać do świetlic czy bibliotek przemysłowym podstępem i dopiero po dłuższym okresie czasu ustawić się pod dużymi świetlicami ogniki po towar kulturalno-oświatowy: olej do głowy.

W Białymstoku mimo tego, że nie ma tam na razie ani jednego Domu Kultury, ogniek po towar kulturalny już stoi.

Ale nie o to w tym wypadku chodzi. Z porównania rozdzielnika handlowego i rozdzielnika kulturalnego wynika, że i w jednym i w drugim wypadku nieudolnemu rozprowadzeniu towaru winien jest jakiś referent, czy podreferent, który czegoś tam zapomniał, coś źle obliczył, poplątał jakieś wykazy na swoim biurku. Tymczasem się potem biedak nie bez racji, że podlega dyscyplinie pracy i swoje godziny musi w biurze wysiedzieć, a z okien biura — chcesz nie chcesz — tego wszystkiego co, gdzie, komu potrzeba w terenie — nie widać.

Niedawno w „Przeglądzie Kulturalnym“ ukazał się artykuł (a raczej felieton) „W Białymstoku i okolicy“. Autor tego felietonu włożył wiele wysiłku w barwny opis miasta i wsi okolicznych oraz namalowałszy ciepłymi kolorami wykreś „lutejszych“ potrzeb kulturalnych, tak pisał: „Budując się potrzeby, wzbierające nowe życie intelektualne i uczuciowe ma przed sobą przeszkody tym trudniejsze do pokonania, że ulotne, nieuchwytne, takie, co nie wiadomo kogo przycisnąć, przed kim orędowną, kogo czynić odpowiedzialnym“.

Autor ma prawo wielu rzeczy nie dopowiedzieć, ale rozbrajające rozłożenie rąk („nie wiadomo... kogo czynić odpowiedzialnym“) — ma prawo razić czytelnika.

*

„Cierpiemy na fetyzizm organizacyjny. Wydaje nam się, że dla zorganizowania jakiejś roboty, dla urządzenia czegośkolwiek wystarczy wziąć arkusz papieru, zasiąść w swoim gabinecie i napisać: „podjąć energiczne kroki“, „znaleźć środki“ itd. itd. Uważamy, że dosyć jest wziąć ołówek i narysować „dżewo genealogiczne“ z odgałęzionymi kółkami. Postawic tu kółko, tam kółko, jedno kółko zarządza tym, inne kółko zarządza tym, trzecie — jeszcze czymś innym, i oto po narysowaniu szkicu organizacja jest gotowa. Wobec tego fetyzizmu organizacyjnego, wobec tego biurokratyzmu — niktą żywi ludzie. A przecież pracy kierowniczej, pracy polegającej na zarządzaniu — mechanizować nie wolno. Jest to praca mózgu, praca indywidualna, chociaż jednocześnie jest pracą na wskroś zespołową, na wskroś społeczną“.

Wydaje mi się, że słowa Dzierżyńskiego, cytowane wyżej — są nadzwyczaj aktualne dla organizacji naszego życia kulturalnego. Dla planów umasowienia kultury, które rozłożyły się przy biurkach, po czym „szy“ z rygorystycznym zaleceniem „do wykonania“ w terenie. I tyle. A rezultat? Na 1400 wzorcowych świetlic gminnych założonych tym trybem w ubiegłym roku, pracuje tylko 330, zaś 120 przestało istnieć zaraz po „uroczystym otwarciu“.

„Jeżeli chodzi o działalność Ministerstwa Kultury i Sztuki, to... nie doświadczenie uświadamialiśmy sobie zasadę, że twórczo w terenie można pracować tylko przez organizację społeczne, a nie bezpośrednio przez centralny aparat administracyjny“ — mówił min. Włodzimierz Sokorski w odczycie pl. „Polityka kulturalna w świetle wytycznych IX Plenum“. I dalej zakreślał kryteria podstaw nowej polityki kulturalnej, kierującej się wytycznymi Plenum w ten sposób, że trzeba nastawić się na „realizowanie zasady prowadzenia działalności kulturalnej bez administracyjnego komenderowania, nabręstwa i biurokratyzmu, opierając się zwłaszcza przy kształtowaniu metod i założeń ideowych realizmu socjalistycznego na współpracy ze związkami i stowarzyszeniami twórczymi“.

*

Upuszczając nieco ten wywód, można sobie łatwo wyobrazić rewolucję w naszym planowaniu kulturalnym. To, co przedtem szło „od góry do dołu“ ma teraz zmienić kierunek i iść — „od dołu do góry“. I tutaj — jak mi się wydaje — można doszukać się prawdziwie optymistycznego wniosku, drogi wyjścia z trudności stojących w „robotach“ kulturalnej na białej plamie Białostoczczyzny.

*

Nowe przesłanki planu upowszechnienia kultury w konkretnym, robotycznym przekoju to „wzmocnienie ścisłej współpracy z organizacjami masowymi, w pierwszym rzędzie z CRZZ, Związkami Samopomocy Chłopskiej, Komitetami Frontu Narodowego“ (Wł. Sokorski),

Czytam te budzące radość, ze wszech miar słuszne wytyczne „na nowy etap“ — tuż po powrocie z Białegostoku. Przypominam sobie, że tam „w ścisłej współpracy z Komitetem Frontu Narodowego“ udało sięściągnąć na dość ważną imprezę kulturalną 27 osób, mimo że było o wiele więcej chętnych — oficjalnie „niedopuszczonych“ jednak. Konfrontując liczbę 262 świetlic w województwie białostockim z liczbą 293 spółdzielni produkcyjnych na tym samym terenie. (Więcej spółdzielni niż świetlic). Wspominam poezjalne słowa wypowiedziane przez moim odczajem przez z-cę przewodniczącą Wojewódzkiego Komitetu Frontu Narodowego: „Teraz ruszmy z kopyta, towarzyszu. Planujemy masową akcję odczytów o upowszechnieniu kultury. Rzućmy w teren 500 prelegentów. Bo mamy tu tylu aktywistów, choć na pozór zdawałoby się, że jest nas tylko dwóch — przewodniczący i ja...“ Leży przede mną sprawozdanie Kierownika Wydz. Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej za rok ubiegły, rojące się od cyfr. Sprawozdanie przywożem z Białegostoku. Ale nie jestem z niego mądrzejszy. Komentarz do cyfr sloganowy. O specyfice terenu ani słowa. Z gołych cyfr nie postawionych na tle jakiegokolwiek problemu, nie porównywalnych z innymi cyframi — wynika dla czytelnika, że Białostockie, to chyba najlepszy ze światów — świat Kandydy, w którym dzieje się wszystko najlepiej.

Przecieram oczy. Czy była kiedy biała plama Białostoczczyzny — czy też śnio mi się tylko? Może i była, ale bardzo, bardzo dawno. Obecnie została już widać zadrukowana sprawozdaniami terenowymi. Zagadana akcją odczytowa.

Oto jakie niebezpieczeństwo kryje się za słusznymi wskazaniem na nowy etap. Niebezpieczeństwo wynikające z tego, że pewna część dolowego, terenowego aktywu kulturalnego, o który obecnie oprzeć się ma gros planowania i działalności — zarazona jest już nieco manierą pracy biurokratycznej. Dla takich często ważny jest tylko papierce, stan formalny. I tak np. w wykazach większości powiatowych i gminnych Rad Narodowych w woj. białostockim figuruje etat kierownika, czy referenta od spraw kulturalnych (uczniowie obsadzony). „W praktyce, w 50 na 100 wypadków — opowiada reporter miejscowego dziennika — rzecz ma się jak następuje: potrzebuję informacji. Zgłaszam się do referenta. Pokazują mi młodą panią. Kłaniam się pięknie, pytam o to co mi potrzeba. A ona rumieniąc się wstydliwie bąka, że „na razie... ja... z kulturą... nie tego... Okazuje się: Panna pełni funkcje maszynistki, w najlepszym razie dokonuje spisu kontraktowanych świń. Jest na etacie „kult.-ośw.“ przez... oszczędność, lub dlatego, ponieważ nie ma nikogo chętnego na to stanowisko“.

Toteż rozumiem dobrze dlaczego, kiedy do miejscowego dziennika jedna z młodych czytelniczek nadesłała list tej mniej więcej treści: „Moja ulubiona bohaterka jest Zoja Kosmodemianska. Marzę aby móc postępować tak jak ona“ — redakcja odpowiedziała: Droga koleżanko — nie zawsze i nie wszyscy mogą bronić Ojczyzny z bronią w ręku. Postarajcie się zainteresować życiem kulturalnym na waszym terenie, waszymi zespołami amatorskimi. Bo taka praca (tu cytuję dosłownie) — to też bohaterstwo!

Co racja to racja. W warunkach Białostoczczyzny — na pewno. Parę miesięcy temu w Michalkowie otwarta została bodajże pierwsza w Białostoczczyźnie księgarnia wiejska. Została otwarta — i tyle. Nikt jakos po książki się nie kwapil. I na tym poczętku a jednocześnie — końcu, może by i zostało, gdyby nie miejscowe koło ZMP. Zetemowcy brali co ciekawsze książki z księgarni, chodzili po chatkach, pokazywali ilustracje, opowiadali perypetie bohaterów („A chcieć wiedzieć, co dalej? No to idźcie do księgarni!“). tłumaczyli, że cena książki to tyle co półtora zwykłego kurzego jajka... Księgarnia zdobyła sobie w ten sposób stałą klientelę z Michalkowa a nawet z sąsiednich gromad.

Wśród zetempowców propagujących michalkowską księgarnię wyróżnili się dwaj: Nalewajko i Monach. Oto rzeczywiście kierownicy wydziałów i referatów kultury w województwie białostockim!

*

...Nie przypadkowo chyba wieś Michalkowo jest dobrze oceniana i w akcji skupu i w całym szeregu innych akcji, czy to ekonomicznych, czy politycznych.

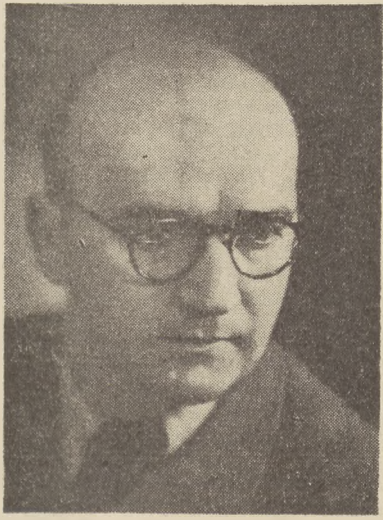
Ale jest też inna wieś w Białostoczczyźnie, wieś, w której wydarzyła się historia warta wpisania do antologii anegdoty politycznej. Ze wsi tej wyjechał raz bogaty gospodarz po drzewo do lasu i wrócił z wieścią: w lesie siedzi amerykański desant! Sam widział, sam z desantami gadał. Potrzebują prowiantu. I to dużo. Dolarami zapłaca! Obszedł z tą wieścią znajomków, kumów. Uradowali się na wieść o dolarach. Ten zarządnł świnia, ów jakowiec, inny zmeł meł żyta. Ładował to wszystko nasz kulał na swój wóz i wózł a wózł do lasu. Po pewnym czasie kumy niepokoić się poczęli: A gdzież dolary? Kulak podrapał się w głowę. Nic nie zrobię, sąsiedzi. Desanci wsięli na samoloty — Fiuu! — i tyłem ich widział. Dopiero wtedy ludzie „pokapowali“ co i poszli na milicję. W śledztwie okazało się, że nasz kulał wózł przez las cały

(Dokończenie na str. 7)

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia

WILHELM SZEWCZYK:



1

Kiedy w połowie ubiegłego roku przygotowywałem dla Wydawnictwa Literackiego w Krakowie wybór moich wierszy z siedemnastu lat życia, musiałem przy tej okazji zabawić się w krytyka swoich własnych utworów, zastanowić się nad ich celowością w chwili obecnej, podumać nad przemijalnością rzeczy, które kiedyś tam, wskutek młodzieńczej afektacji literackiej, uważało się za dobre i słuszne, a redaktorzy to na dodatek drukowali.

Gdy napisałem pierwszą swoją książkę — poemat — byłem bezrobotny. Po maturze, nie mogąc uzyskać na bogatym mimo wszystko Śląsku żadnej, jak to się mówiło, posady, naśluchałem się wiele cennych rad od ludzi na ogół żywycie ocenających start życiowy młodego Ślązaka. I tak naczelnik gminy w osadzie górniczej, w której mieszkałem i wychowywałem się, zobaczywszy świadectwo maturalne rzekł: „Może pan z tym iść świnie paść; wielu takich przychodzi jak pan i jeszcze będzie przychodzić, a u mnie nima nic”. Jak nima, to nima. Zgłosiłem się do dyrekcji poczty w Katowicach, gdzie podobno przyjmowali na posady. Naczelnik nawet przyjął mnie, wysłuchał, przeczytał nawet podany mu wierszyk o kopalni i haldach, potem pomachał ręką i rzekł: „Do policji przyjmują maturzystów. Komendant Zółtasiak to mój znajomy. Mogę zadzwonić”. Już kłaniałem się i bieglem ze schodów. Wreszcie pewnego dnia spotkałem koleżę, który kilka lat wcześniej skończył gimnazjum i potem poszedł na teologię. Należał do słynnej w swoim czasie grupy młodych kleryków z krakowskiego

Seminarium Duchownego, którzy przed święceniami, żegnając ziemską powłokę, postanowili zabać się przy winie i dziewczętach, wyleciał z Seminarium. „Gdzie pracujesz?” — oto pytanie, jakim witali się wówczas młodzi ludzie na Śląsku. „Na kolei” — „?!” — „Scigam niesumiennych podatników na zlecenie Urzędu Skarbowego”. Za jego radą poszedłem tam i przepracowałem w ten sposób kilka miesięcy w ekspedycji kolejowej dworca katowickiego, wynotowując z ksiąg frachtowych informacje co do przesyłek pod adresem różnych katowickich kupców. Urząd Skarbowy w ten sposób orientował się, ile towaru ukryto przed okiem podatkoborców. Za jedna informację płacił jeden grosz. Można było zarobić złotego dziennie. Tyle samo zarabiałem później nosząc na plecach dywan, chodniki, chrusv, kapy, firany dla pewnego domokrażcy. Ale tu przynajmniej miałem urozmaicenie, wstępowało się do domów, poznawało się ludzi kupujących to na raty z przeświadczeniem, że i tak nie wypłacą należności do końca.

Dopiero na trzy miesiące przed wojną udało mi się uzyskać prawdziwą posadę za 330 złotych miesięcznie. Byłem oszołomiony. Ale wtedy już łatwiej było o posadę. Kilkanaście tysięcy hitlerowców zwolniono z różnych stanowisk na Śląsku po marcowej mowie Hitlera. Oprożniły się fotele przy biurkach. Młodzi ludzie mogli nareszcie pomyśleć o tym, aby kupić sobie ubranie lub buty.

Wszystkie prawie wiersze z tamtych lat mogłem powtórzyć w moim wyborze. Patrząc na rzeczywistość młodymi, jak to zwykle bywa ostrymi oczyma i dlatego mogłem przyrzec się z właściwą wagą zarówno dyrektorowi sp. akc. „Giesche”, który nie chciał mnie przyjąć nawet za lauffburscha, jak i haldziarzom wełnowieckim, wśród których stworzyłem coś w rodzaju ochotniczej trupy teatralnej, n.b. dla jednego tylko przedstawienia.

Ale już w okresie okupacyjnym do tego, co pisałem, wkraśli się tendencje, które skróciły radykalnie wiek wielu z tych utworów. Rozczytywałem się wówczas w pismach śląskich mistyków, utopiistów, a w więzieniu katowickim, gdzie pozwolono mi korzystać z bogatej biblioteki więziennej, przez półtora roku gościła w mojej celi jakaś historia filozofii pióra niepamiętanego już bawarskiego jezuity. Samotność sprzyjała tego rodzaju mistycznym peregrinacjom.

Największym przeżyciem roku 1945 było otwarcie granic polskich na zachód, osłabienie ziem śląskich polską codzienną treścią. Ten moment największego historycznego wydarzenia, jakie zanotowały dzieje naszego narodu, zrazu — dobrze to pamiętamy — wprawił wszystkich nas w oszołomienie szczególnie rażącego rodzaju. Można było, jak w czasach wielkich australijskich czy kanadyjskich wędrowek, wdziarać się w tajemnicze nieznanej ziemi, obowiązywała jak wtedy przedsiębiorczość, której wielu użyczyło niewłaściwie, wolność była szeroka również i w geograficznym zasięgu.

W atmosferze takiego oszołomienia zacząłem redagować tygodnik literacko-społeczny „Odra”, poświęcony poznawaniu ziem zachodnich. Wszystkie błędy tego pisma wynikały z braku realistycznej oceny rzeczywistości politycznej ówczesnych ziem odzyskanych. Robotnicy podnosili z gruzów Pafawag — nie, „Odra” tego nie widziała, natomiast — poprzez swoich stałych współpracowników — wołała wglądać w średniowieczne akta miasta Wrocławia. Na Odrze w ogniu ogromnej walki klasowej, wśród sabotażów i serii kradzieży, zwanej wtedy sabrowaniem, rozpoczęła się żegluga, węgiel płynął do Szczecina — „Odra” tego nie widziała, natomiast opowiadała o rańcach dawnego Głogowa. Sam wtedy nawet podjąłem taki temat średniowieczny — napisałem dramat o biskupie Nankercze.

Gdyby nie coraz większe zainteresowanie problematyką niemiecką, gdyby nie skłonność do publicystyki na te tematy — oszołomienie historii nadodrzańską trwałoby u mnie dłużej. Na szczęście — uprawiałem publicystykę. Publicystyka nasza rosła razem z ideologicznym dojrzewaniem redaktorów, z dojrzewaniem czytelników. Dlatego, gdy przyglądam się pierwszemu memu stałemu felietonowi w jednym z dzienników śląskich z roku 1948, i felietonowi z roku 1953, stwierdzę muszę, że ostrość polityczną niektórych ostatnich sformułowań, zwłaszcza zaś właściwą ocenę spraw niemieckich zawiądzęcam również memu kolektywowi krytycznemu, który tworzyli czytelnicy moich artykułów i redaktorzy. Publicystyka pozwoliła mi na dokonanie rozrachunku z tymi tendencjami w mojej pracy literackiej, które ja niejednokrotnie pchały w kierunku deformacji rzeczywistości. Dzięki publicystyce zmuszony byłem do codziennego kontaktu z życiem, które się w niej przeogładało, odwieczałem stare kąty, tak dobrze znane z tamtych przedwzrostniowych lat, odwieczałem ludzi, którzy jak ja kiedyś

śleczeli nad ksegrami frachtowymi w katowickiej zakurzonej i zapiażonej ekspedycji towarowej, oglądałem nowe maszyny górnicze i brałem udział — jako widz — w meczu dwóch LZS w Gardawicach w powiecie pszczyńskim, mając możliwość pośredniczyć potem w boju obu drużyn.

Gdy więc zabrałem się do napisania pierwszej mojej powieści, byłem już jakby wyleczony z tego, co tak długo hamowało moje ruchy i krępowało myśl. Wtedy postanowiłem napisać cykl powieściowy o walce i pracy klasy robotniczej Śląska. Byli tacy, również i w wydawnictwie, którzy kiwali z dezaprobatą głowami. Ale uparłem się. Wydawało mi się, że dzieje Śląska w Polsce Ludowej, jedyna historyczna szansa, jaką Śląsk zyskał, by wyjść z odwiecznej zaściankowości, wielość problemów — wszystko to mam obowiązek opisać, osadzić w prawdziwym nurcie życia, któremu publicystyka nie może sprostać choćby dlatego, że więcej apeluje do rozumu niż do uczucia.

Załużę teraz, że nie mogę redagować takiej odrodzonej „Odry”. Codziennie śleczę nad mapą Śląska, codziennie układam terminy, kiedy zajrzeć do Wirku, a kiedy do Cieszyńska, kiedy przyrzec się mememu modelowi powieściowemu, kopalni „Debiensko”, a kiedy odwiedzić tarnogórskie podziemia, kiedy porozmawiać z autochtoniczną rodziną w Gliwicach, a kiedy zająć się — dawno mu to obiecałem — do dyrektora Hahna w większym uniwersytecie ludowym. Żeby to na wszystko mieć czas! Któż jak nie człowiek piszący powinien jeździć, rozmawiać z ludźmi, cieszyć się każdym nowym kształtem, który wyrasta na drodze, opisywać go, by pomóc w narodzinach innych, lepszych i doskonalszych.

Kiedys na jednym z wieczorów literackich zapytał nas jakiś starszy jegomość: „Proszę, niech mi autorowie odpowiedzą, co im dała Polska Ludowa”. Siwowłósy kolega odpowiedział: „Pewność siebie”. To było ładnie powiedziane, nie było w tym zarozumiałości, myślał o pewności widzenia. Koleżanka odrzekła: „Możność szerokiej inicjatywy”. Ja odpowiedziałem trochę dziwnie: „Dała mi Śląsk”. Myślałem potem że odpowiedziałem pompatycznie, byłem nawet zły na siebie, ale po namyśle, rozpedziłem się. Możliwość pisania o Śląsku w tych perspektywach, jakie dała mu nowa rzeczywistość ekonomiczna i społeczna, z tą ufnością, z jaką najlepszy jego ludzie tworzą codzienne wartości — to właśnie miałem na myśli, mówiąc o Śląsku.

Wilhelm Szewczyk

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZ:



Kiedy się patrzy wstecz na minionych lat dziesięć Polski Ludowej — a sześć lat mojego w niej pobytu — zacierają się w pamięci mniejsze czy większe troski dnia powszedniego, odchodzą w cień takie czy inne niedomagania, jakie gnębiły nas i częściowo jeszcze gnębią — na pierwszy plan natomiast wysuwają się realne zwycięstwa dziesięciolecia. Nie będę dotykała spraw przebudowy społecznej i ekonomicznej kraju ani zwycięzcy na polu dzwignięcia z ruin oraz uprzemysłowienia, gospodarczego życia wsi polskiej; zagadnieniami tymi niech zajmują się ci, którzy lepiej ode mnie na tym się znają, są więc raczej niż ja do wypowiedziania się powołani. Mnie osobliście najbardziej uderzającymi zdają się trzy momenty o charakterze społecznym, będące bezspornie zwycięzstwami minionego dziesięciolecia.

Pierwszy to zagadnienie pracy. Otrzymała to zwycięzcy, że zmora bezrobocia przynajmniej pośrednio lub bezpośrednio życie każdego w latach poprzedzających drugą wojnę światową przestała być kłębą dla jednych a przemożną dręczącą troską i wyrzutem sumienia dla drugich. Dziś problem pracy zdaje się być całkowicie rozwiązany; najszersze masy wprężnięte zostały do dzieła odbudowy, przebudowy i zabudowy nowej Polski. Nikt nie potrzebuje obawiać się braku pracy, bez względu na płeć, pochodze-

nie i wiek, a nawet zapatrywania. O przyszłości również spokojnie każdy myśleć może, w przekonaniu, że nie człowiek na pracę lecz praca na niego czeka. Poza tym liczne zapewnienia kierowniczych czynników stwierdzają, że stosunek do pracy oraz do tych, którzy jej poszukują, nie zmieni się także i w przyszłości. Znikły w miastach ogonki wyczekujące przed urzędami pośrednictwa, zjawili się natomiast niezliczone rzemieślnicze warsztaty pracy lub z nich powracające.

A obok istnych rzek ludzi dojrzałych płyną o swojej porze strumienie dzieci i młodzieży dążące do szkół. Bo u nas o wienienie nauk i zarówno w szkołach podstawowych jak w średnich i wyższych, to druga imponująca zdobycz minionego dziesięciolecia. Wizja przyszłego społeczeństwa, takiego, które osiągnie kulturę nie tylko fachową, ale i ogólną, jest i oszołamiącą i realną. A to ucieśnienie kultury najszerzym masom jest tym możliwsze, że obok umniejszenia nauki minionego dziesięciolecia przyniosło jedną jeszcze cenną zdobycz: dostęp do książki i jej rozpowszechnienie wśród szerokich warstw czytelników. Wzruszający jest zapał i ciekawość z jaką nowi czytelnicy sięgają po książkę i na kształt zdobywców nieznanych lądów odkrywają takie pozycje: literatury klasycznej jak „Paraura”, „Chłopów”, „Ojca Goriot”, Annę Karenin”, ba, nawet „Pana Tadeusza”. Nie wiedzą oni często czy to książka polska czy tłumaczona, nie znają jej autora i z całą naiwnością polecają uwadze odcienienia dzieła stanowiącego najbardziej zasadnicze pozycje światowej klasycznej literatury, jak Szekspir czy Balzac. Uznawanie rozlegające się z ust, wyzbytych wszelkiego snobizmu intelektualnego czy osobistego, jest pięknym urzeczywistnieniem pisarskiego marzenia o „zbłądzeniu pod strzechy”.

Te trzy zwycięstwa dziesięciolecia: Praca, Oświata Szkolna i Książka dla Mas, wydają mi się najcenniejszą pozycją dziesięciolecia. Przeorują one najgłębiej polskie życie, najgruntowniej przekształcają indywidualność społeczeństwa. Stanowią przy tym niezaprzeczalny dorobek, który każdy rzetelnie osadzający zagadnienia bieżące Polak, znać musi jako cenny dla naszego kraju.

Kazimiera Iłlakowicz

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Formowanie siły

Z NOTATNIKA VIETNAMSKIEGO

Czy chcecie pójść posłuchać co się będzie gadało na zebraniu we wtorek, tylko z góry zastrzegam, że to nieprzegotowane... Mogą pieść głupstwa. Właśnie zaczęły kurs uświadamiania politycznego, dopiero trzecia lekcja, odpowiedź na pytanie: „Dlaczego jesteście biedny...”

— Jasne, że idziemy Wan Tań. Jak coś nie będzie wam się podobalo w odpowiedziach, najwyżej nie przełożycie...

Musiałem go dotknąć, bo zerwał się zaperzony:

— Ty wiesz, że wszystko tłumaczmy... Przecież wczorasz sprawdzacie tłumaczenia, porównujecie z Czechami, jesteście naszymi przyjaciółmi, nie chcemy nic przed wami ukrywać.

— Czy to daleko? — dopytywał się Olek.

— Nie. Może pięć kilometrów.

— Tych prawdziwych, czy wietnamskich?

— Tych krótszych — roześmiał się Wan Tań.

Wciągnąłem wilgotną bluzę, podkasałem nogawki spodni i z blokiem pod pachą ruszyliśmy ścieżką. Noc była pełna wzywień, duszna i ciepła. Pochodnie z bambusów czerwonymi grzywami oświetlały mokre nie wysoki drzew.

Przeszliśmy w bród strugę i już byliśmy na wysuszonych polach ryżowych. Daleko przed nami błyskały ogniki pochodni, ustawiały się w drgający szereg. Doszło nas kołatanie drewnianego dzwonu.

— Już się zbierają — szepnął tłumacz — trzeba się pospieszyć, bo zaczyna bez nas.

Pachniało palonym drzewem, długą smuga woni wisiała w powietrzu. Miedza, ostrzegając się wzajemnie przed pijawkami, brnęliśmy w zeschłych trawach. Jeszcze jeden potok i za kępą bambusów myśliśmy światłem plecione ściany chalupy.

Zdjęliśmy sandały i położyli na ścieżce drabinki. Wleźliśmy na piętro mieszkalne. Chłopi siedzieli dużym kręgiem wokół ogniska. Z jednej strony zgromadziły się kobiety, za nimi stało parę dziewczyn, które zaraz zaczęły chichotać i pokazywać palcami na moje owłosione

łydki.

Wcisnęliśmy się w kąt. Obok mnie nawpół uklekła Phan Thi Ann, chwilami gdy nachylała się i szeptała wprost do ucha, czulem jej ciepły oddech.

— To biedni i średniacy z tej wioski. Ten w berecie sekretarz komórki partyjnej, obok niego członek kadry, żeby mu pomagał. Ludzie zupełnie nowi, niewyrobieni politycznie... Proszę was, nie notujcie wszystkich...

Członek kadry — tak nazywano towarzyszy, którzy szli na wieś mobilizować siłę chłopską. Wykonywali ściśle wskazania Komitetu Centralnego. Prezydent Ho Chin Min ujął je w formie aforyzmu: Trzy „Z” — być co najmniej przez miesiąc z najbiedniejszymi chłopami, mieszkać i jeść z nimi, pracując z nimi na polu i w lesie wyjaśniać, agitować. To najszybciej jednalo im zaufanie. Już po tygodniu znali wszystkie sprężyny kierujące życiem wioski, wiedzieli, kto od kogo zależy, kto u kogo siedzi w kieszeni, dostrzegali ciche zmywy i powiązania ustnych kontraktów.

Kobdziej rozkładał blok rysunkowy, mały chłopak trzymał mu butelkę z tuszem i miseczkę z wodą, usługiwał z nabożeństwem.

Sprawdzono listę obecności. Było dwadzieścia sześć osób na trzydzieści jeden wezwanych. Pięć nieobecnych usprawiedliwionych, pracowali na odległych polach za górą, lub odeszli z ryżem na etap frontowy.

— U nas lubią zebrania. Nie tylko okazja, żeby sobie pogadać, ale dowiadują się ostatnich nowin z frontu... Uczą się dużo, zaczynają rozumieć mechanizm świata. Nasze kursy, to ich uniwersytet, życie ich niejednego nauczyło, ale dopiero tutaj porządkujemy ich doświadczenia.

Mężczyźni siedzieli w kukli, wygrzewali bosc stopy w blasku ognia. Suche bambusy płonęły żółto, oświetlając skupione twarze. Na głowach mieli berety.

Poznałem dziewczyny z mniejszości Tho po warkoczach owiniętych czarnymi chustkami i zawiązanych w watek nad czołem.

— Bracia i siostry! — zaczął stary chłop. — Dzisiaj trzecia lekcja, mamy odpowiedzieć sobie na pyta-

nie: „Co trzeba robić, żeby nie być biednym?”

— Kto są ci biali, co tu przyszliz? — odezwał się głos kobiety.

— Nasi przyjaciele. Z dalekich krajów. Chcą posłuchać co mówimy i jak walczymy z nędzą...

— Może chcą się od nas uczyć — parsknął śmiechem młody.

— To my możemy się od nich uczyć, oni już pokonali głód i wyżył, popatrzyć jacy są mocni, jakie mają pełne twarze.

Wszystkie głowy zwróciły się ku nam, aż Phan Thi Ann przestała szeptać.

— Oni myślą, że wy nie rozumiecie — tchnęła mi w ucho.

Powoli zainteresowanie wygasło. Podawali sobie grubą bambusową faję. Dym przechodził przez wodę, wciągali go z głośnym bulgotem. Musiał być mocny tyton, bo martwieli nagle z osłupiałym wzrokiem, potem zasnuwali się siną chmurą, wydychając go gdzieś aż z pięta.

— Żeby pozbyć się nędzy, trzeba pomóc tym, którzy chcą, żeby nam było dobrze — odezwał się jeden spod słupa.

— Ale jak poznasz tych ludzi? — zapytał przewodniczący.

— Oni myślą o nas. Mówią o nas. Przedtem nikt o nas nie myślał. Oni chcą, żeby nam było lepiej. A sami sobie nie dogadają.

— Trzeba im pomóc — potwierdził drugi — trzeba dawać i dużo pracować... Kto nie daje, nie ma prawa żądać, żeby mu dawano.

— Przed rewolucją pan żądał, żebyś dużo pracował, teraz też oni żądają — coś za różnica — przypierał go przewodniczący.

— Przed wojną nie pracowałem dla siebie. Jak mi brakowało ryżu szedłem do pana, on mi pożyczal pięć koszyków, ale dawał tylko cztery, bo jeden zatrzymywał jako procent. Jeżeli już zapominałem, to mnie poprawie... Dziś nam ryżu wystarcza. A jakby brakło dostajemy z gminnego składu, tam nie zdzierają procentu. Mamy politykę, która nas broni przed wyżyskiem bogaczy.

— Jak to się dzieje, że przedtem pracowaliście tyle samo co dziś, a może nawet więcej i nie

wystarczało wam ryżu, a dziś wystarczy?

— Bo mamy dekret o obniżce renty dzierżawnej, nie sypimy tyle ryżu w kosze obsznarka — odezwali się głosy. — Teraz jest inaczej.

— Czy bogacze nagle stali się do brzy i sami obniżyli opłaty? Czy wszędzie przestrzegają dekretu?

— U nas jest w porządku, ale we wsi gdzie mieszka mój brat, płacą połowę plonu i jeszcze mu-

szą dziękować, bo obniżył im pan o dwa kosze — wykrzyknęła piskliwie kobieta.

— Oni jeszcze nam niczego nie dali dobrowolnie, wszystko im trzeba wydzierać!

— Ja pożyczylem bawołu do orki i płacę tyle co każdego roku — skarżył się ktoś w ciemności.

— Więc jak mam to rozumić — zapytał ten z kadry — jedni mówią, że jest zmiana, inni, że nie ma poprawy?



Rys. Aleksander Kobdziej.

(Dokończenie na str. 6)

JAN EDWARD KUCHARSKI

Godziny leśne

List

Myślałem o tobie, miły kolego z okolic Słupska. Pod dębą przed twoim domem podkradają się zapewne i w tym roku otuśnięte październikowym zmierzchem — dziki. Jelonek-sierota na pewno wyrósł już, obrzydło mu towarzystwo krów i wypuścił go do lasu. Pamiętam, jak chciałem chłonać rozszesnastymi chrupami lekkim powiewem płynącym wieczorem od puszczy. Mała grzywa jeżyła mu się na karku, bezgrocie czoło marszczył niespokojnie. Po chwili, upieszczony twoją ręką o-puszczał łeb i wracał pokornie między krowy. Zapadał zmierzch.

Zmęczeni, siadaliśmy na ławeczce przed domem. Nie mówiło się wiele. Była cisza, rykowiśko już się skończyło. Coraz rzadziej rozlegało się gorące stękanie byków. Trwało krótko, nie miało już tej potęgi co przed dwoma tygodniami. Główni zapasnicy odpoczywali po miłosnych turniejach w najgłębszych ostępach. Dołonośnie zahuczał władca nocy, puchacz. Tego dnia pokazywałeś mi jego ostoję w lesie.

O świcie miałem wracać do miasta. Omówiliśmy sprawę koni na stacji. W kilku słowach poskarżyłeś się wtedy na monotonię leśnego życia. Oczarowany lasem mieszkawiec miasta nie rozumiał cię. Zapytałem:

— A więc moglibyście przenieść się do miasta?

— Mogłbym — odpowiedziałeś po długim namyśle.

— A tego — zatoczyłem ręką przed sobą — nie byłoby żał?

Nagły poryw wiatru zasumował debami i rzucił nam pod nogi kłab zeschłych liści. Oparłeś głowę o drewnianą ścianę.

— No tak — powiedziałeś z uśmiechem — ale miasto ma jednak swoje dobre strony.

Pozdrowałem cię, miły kolego z okolic Słupska. Na pewno w mieście jeszcze nie zamieszkasz.

Najpiękniejszy las

Zagłębie Dąbrowskie nigdy nie śpi. Przez otwarte okno dobiega mnie z głębokiej nocy dudnienie maszyn wyciągowej. Nocna zmiana przygotowuje kopalnię na następny dzień wydobycia. Hula pracująca całą dobę — wielkie piece nie znają odpoczynku. Co osiem godzin ryczą syreny — jednakowo, beznamietnie, nieuchronnie. A spod ziemi płynnie węgiel, węgiel, węgiel. Czarne bryły lśnią w płuckarniach, węglarki podjeżdżają pod krany. Na cztery strony świata jadą pociągi z węglem Zagłębia Dąbrowskiego. W szerokie chodniki po wybranym węglu leje się piasek z wodą. Zamulka. Trzeba wypełnić ranę zadaną ziemi, trzeba myśleć o dalszym wydobyciu, nie wolno naruszać równowagi natury. Gdzieś za miastem wielki bagier ładuje wagoniki elektrycznej kolejki. Pociągi złotego piasku niktą za żelazną bramą kopalni, aby po chwili powrócić po nowy ładunek.



Mrużę oczy odwykłe od słonecznego światła. Poza mną zostaje czarna brama, komin, wieża szymbów. Pociąg wpada między pola, powietrze zaczyna smakować. Na horyzoncie, w oczach rośnie las. Karłowate sosny wykręcają ku słońcu jasne konary, poszycie jest ubogie i rzadkie, ale w tej chwili na całym świecie nie ma dla mnie piękniejszego lasu. Idę między drzewami, dłonią dotykam chropowatej kory, buty stąpają cicho po przychylonym igliwiu. Ciepłe powietrze pachnie żywicą, z góry dobiega zajadle cmokanie wiewiórki.

I nagle zrozumiałem leśniczego z okolic Słupska i jego tęsknotę za miastem. Była to tęsknota za pełnią życia. Jego las, w którym co dzień przebywał — to dla mnie miasto, zaś jego marzenie o nieciekawym prowincjonalnym mieście — to dla mnie dotknięcie tego pnia karłowatej sosny w lesie opodal Dąbrowy Górniczej.

Mądra matka

Piękne koniczyzny mieliśmy w tym roku. Na skoszonej łące, pod lasem w Mariankach zostało gniazdo kuropatwy. Dwadzieścia gładkich, oliwkowych jajeczek leżało w małym zagłębieniu ziemi. Kosa musiała przejeść tuż nad nim. Zazwyczaj staruszka w ostatniej chwili zeskokczyła z gniazda. Myślę z sympatią o kosiarku, który odkrył gniazdo, obejrzał, pomyślał o przyszłym stadku i ruszył dalej z szerokim zamachem ramienia. Za nim zostawały pasy skoszonej koniczyzny. Najbliższy leżał w odległości metra od gniazda.

Stanąłem zakłopotany. Czy staruszka wróci wyśledzić jajka na odkrytym polu? Czy nie przestraszy się, jeśliśbym otoczył gniazdko kilkoma gałązkami? A może zabrać jajka i podłożyć pod kurę? Tak, to byłoby najlepsze. Nawet gdyby matka wróciła na gniazdo, to przecież zginię w odkrytym polu niechybnie. Lis, jaskółka, kot, lasica — któż zliczy wrogów kuropatwy?

Jednak tego dnia nie zabrałem jajeczek — na skraju łąki wbiłem dwie gałązki kierunkowe i postanowiłem przyjść nazajutrz.

Słońce przechyliło się już na zachodnią stronę, gdy następnego dnia stanąłem przy swoich gałązkach. Zacząłem iść wzdłuż pasa schnącej koniczyzny. W miejscu, gdzie wczoraj z daleka białeja jajka, pas koniczyzny wybrzuszał się na odległość półtora metra. Cała przestrzeń między nim a gniazdem pokryta była gęsto zwieczonymi żółtymi. Podeszedłem cicho kilka kroków. Na gnieździe siedziała staruszka. Z trudnością dojrzałem ją z bliskiej odległości. Naciągała na siebie całą kupę rdzewiejących kwiatów koniczyzny — dłuższe badyły sterczały dokoła. Była tak wspaniale zamaskowana, że najbystrzejsze oko mogłoby się przesuwać bez uwagi po niepozornej kepcie siana. Widziałam mnie i niespokojnie kręciła łebkiem. Wycofałem się z łąki ostrożnie. Za kilka dni znalazłem puste gniazdo — nikłe ślady skorupki mówiły o szczęśliwych urodzinach.

Dzisiaj na sąsiednim ziemniaczysku spotkałem silne stadko kur. Wyrwały się na dobre sześćdziesiąt kroków i pomknęły z wiatrem jak kule.

— Mądra macie matkę, smarkacz — pomyślałem, spoglądając za stadkiem zapadającym daleko w wielki las łubini.



Łubiny

Kiedy wrześnie słońce chyliło się za daleki las na horyzoncie, na ziemię spływa łagodny, rzęski chłód.

Usiadłem pod łanem wysokiego łubinu. Aza, wyciągnięta u moich stóp lizała spracowane łapy. Dwie wiązki kuropatwy leżały obok niej. Spoglądała na nie z wyrazem zadowolenia i zapewne z pocuciem dobież spełnionego obowiązku.

Wokół nas trwała zająca kano-nada łubiniów. Nagrane słońcem strączki kurczyły się na wieczornym chłdzie i pękały, strzelając drobny-mi nasionami. Famieję przeskokczyła dziesięć lat — wrzesień 1939. Bora-tycz w okolicach Łańcuta. Trzeci raz tego dnia mieliśmy iść na bag-nety. Siedziałem w głębokiej ziem-iance, przepisując ostatni rozkaz batalionowy. Za chwilę goniec miał go ponieść dalej.

Pod metrową warstwą ziemi, bezładna strzelanina piechoty brzmiała tak samo, jak to pszykanie łubiniów — tylko wtedy każdy taki trzask niósł za sobą śmierć, tu zaś jest zapowiedzią nowego życia.

Borsuk

Dziś nad wieczorem widziałem pod buczynami, na skraju ujęskich pól, borsuka. Otyły starszy pan pchał przed sobą kłab zeschłych liści i igliwia. Odpoczywał przy tym i dmuchał przez nos niezadowolony. W pewnej chwili zawietrzył w moją stronę, fuknął i w dwóch skokach był przy norze. Na jej ciemnym tle mignęła tylko jego kiść.

Roześmiałem się. Nie posadzałem nigdy grubasa o taką szybkość.

Dwie pary

Pod wieczór wracaliśmy do domu po całodziennym łażeniu za bekasami. Droga biegła przez las. Trzeba się było spieszyć do stacji na ostatni pociąg. Kolega szedł za mną o kilka kroków i posykiwał co chwila. Niezle musiał obrzeć nogę w gumowym buciku.

Opodal wsi, las cofał się szerokim łukiem, ustępując miejsca dużej, wilgotnej polanie. Wąski strumień płynący krajem, oddzielał ją od pierwszych wiejskich zabudowań. Na łące stała para saren. Koza, wysunąwszy nóżkę do przodu, spokojnie szczypała trawę, rogacz co chwila podnosił łeb i bystrze lustrował okolice. Czerwone słońce oświetlało tę scenę jaskrawie.

W tej chwili uczulem złość na tych wszystkich niemiecko-szwajcarskich pacykarzy, malujących myśliwskie landszafty. Bo to właśnie było takie same — tylko żywe. Łaka miała kolor szmaragdowy, suknie saren odbijały się na niej jasną rudziną, dachówki domów na dalekim planie były jaskrawo czerwone. Staliśmy cicho wpatrzni w sielankowy obraz.

Nagle zauważyłem, że nie jesteśmy sami. Nad łąką, obok fantastycznie powykrecanej sosny, stało dwoje młodych ludzi. Tak jak i my przglądali się sarnom. Ona — w kwiekiste wiejskiej spódnicy i serdaku, oparła głowę na ramieniu chłopca, on — trzymał ją w pół i przytulał do siebie. Kolega mógł jeszcze ich nie spostrzeż, wpatrzony w sielankę teraz sarny.

Pożwilem mu dłoń na ramieniu. — Chodźmy — szepnąłem — żeby ich nie spłoszyć.

— Co, saren? — zapytał zdumiony. — Co, saren? — zapytał zdumiony. — Co, saren? — zapytał zdumiony. — Co, saren? — zapytał zdumiony.

Ulica pod śniegiem

Powracam do domu drogą przez młody las. Bezwiertna śnieżycza zasypała ją gładko, wyrównała koleiny i nierówności gruntu. Śnieg leży matową, jednolitą powłoką. W przedświtach lasu słońce wycina z niej oslepiające języki bieli. Idę powoli zapadając się do poływy tydek w syplikim puchu. Obok mnie biegnie ślad lisa. Lekko znaczony trop sprawia wrażenie, iakby lis płynął nad śniegiem, od niechcenia tylko trącając apami puszystą powierzchnię. Wrażenie to usprawiedliwione jest nader przekonywająco porównaniem z głębokimi dziurami, jakie zostawiają moje buty. Co to znaczy?

Stawiam stopę dokładnie na tropie lisa — but nie zapada. Idę parę kroków po jego śladach i nogi moje znajdują twarde oparcie. Robię krok w prawo i wpadam od razu po kolana. Sprawa się wyjaśnia.

Lis szedł cały czas wąskim nasympem. Być może, jutro wiatr zwieje najłżejszy puch z powierzchni śniegu i wyraźnie wymodeluje kierunek wyniosłości, dzisiaj jednak jest idealna równia i nic nie wskazuje, jakiego nierówności kryją się pod spodem.

A przecież lis pewnie wskoczył od razu na wygodny szlak, jak na wybrukowany gładko chodnik, podczas gdy ja brnąć musiałem, jak juczny koń, środkiem jezdni.

Ślad powietrznego gościa

Jakiś duży ptak, usiadłszy na środku zwianej świeżym puchem drogi, zostawił w miejscu swego lądowania głęboki ślad łap. Nie wiem, dlaczego usiadł w tym miejscu i dlaczego, przeszedłszy kilka metrów poderwał się do dalszego lotu. Nie widziałem go i tylko z zapisanego na śniegu łańcuszka tropów, odczytałem jego pobyt na ziemi.

Wielu z nas zapewne nie zostawi śladu swego pobytu na ziemi, a ci, których stać będzie na wyciśnięcie go swoim życiem też muszą uważać, by materiał był trwalszy od śniegu.

Szaragdy

Poranek jest tak piękny, śpiew ptaków drży z taką radością życia, że wychodząc z domu zostawiam broń na wieszaku. Strzał — nawet do drapieżnika — wydaje mi się dzisiaj przekroczeniem jakiegoś nie-pisanego prawa.

Nocą spadła silna rosa. Listeczki bluszczy opłatającego ganek, są czysto wymyte i błyszczą jak skóra. Na końcu każdego z nich wisi szmaragdowa kropelka. Dotykam jednego liścia. Kropka błysnęła olśniewająco i spadła. Na ławce został mokry ślad. Drugiego liścia nie dotykam — szkoda wymienić szmaragdy na plamki wilgoci.

(Z przygotowanego do druku tomu)

Jan Edward Kucharski

Rys. Jerzy Kuźmienko

WANDA KARCZEWSKA

1

Ojcie, ojcie, tokarzu,
zakochany w operze,
jaki z ciebie początek
ten synaczek twój bierze?

Będzie toczył żelazo
czy też śpiewał wam, ludzie?
Oj, patrz na jego oczy,
inną drogą on pójdzie.

Nosi ci on dwojaki,
nosi na nocną zmianę,
a co widzi i słyszy,
w oczach jego zostanie.

Co w nich zamknął — po latach
może kiedyś wam wyzna:
tych czterystu zabitych
w Bolechowcu spod Pilzna.

Kiedyś gniew w nim się wzbudził,
który w oczach mu świecił,
gdy żołnierze strzelali
do kradnących chleb dzieci.

Matko, ty się też kiedyś
będziesz sobie dziwiła,
skąd w nim ten gniew i radość
i — niezachwiana siła.

Jakiś to chłopiec piękny,
kochajcie go, dziewczęta!
Nie, strażę go sobie, matko,
nie nas będzie pamiętał.

Dom zostawi, w świat pójdzie,
matkę rzuci i miłą,
z wrogiem będzie się mierzył,
aby ludziom lżej było.

Kilka lat temu, na hali Kon-dratowej w Tatrach dłuższe pogaduszki z „ceperką“ baka zakończył pałetycznie: — Bo, wicie, owce to zło-to nasychnę hal. To te skar-by, co o nich cepry bajdurzą. Ow-ca, kie trza, to nas i odzieje, i na-karmi, a i dudków do kiesionki na-suje i tabaku do fajki nabije. Kie dobry rok i pikna trawa na holach! Mówie wam to syćko, bo widze co-sie lo zabawy tu nie przysli, mo-ystro sie na syćko zoieracie, o po-gode sie nie pyłacie i głowy byle cym nie zawracacie. No dyć...

Teraz jestem znowu w górach, na Jaworkach, w Małych Pieninach, osiem kilometrów od Szczawnicy. Kręci się tutaj mnóstwo ludzi. Przyjeżdżają, odjeżdżają, zostają na dłużej...

Właściwi bohaterowie — barany, tu, na stacji insemnacyjnej trzy-mają się nieco na uboczu, w o-grodzonych „koszarach“. Tam skubią trawę, dyndolą dzwonekami, sieja „borówki“. Jest to elita, starannie wybrane stado reproduktorów, nad którymi trzęsą się docenci i baraniarze, inspektorzy i praktykanci. Na tarasowatych łagodnych halach, otaczających Jaworki, wzrok napo-tyka setki białych plamek, z daleka nieruchomych — są to owce, roz-sypane jak perły na jasnozielonym suknie.

Tu, na Jaworkach, mieszka stale zaledwie kilkanaście rodzin. Ale w lecie, w kilku blisko siebie leżących ciemnych, drewnianych domkach, bardzo mało zresztą do tego celu przystosowanych, mieści się stacja insemnacji owiec, dalej trochę pla-cówka PAN, prowadząca doświad-czenia nad nawożeniem terenów pa-stwiskowych i melioracją, jeszcze dalej wznosi się nowoczesny, muro-wany, bardzo porządną budynek Centr. Zarz. Przem. Mleczarskiego, nowoczesna mleczarnia i wytwórnia serów. Jednakże ośrodkiem wszyst-kiego jest stacja insemnacji, czyli sztucznego zapłodnienia owiec.

Przełomem w hodowli owiec w Polsce stał się rok 1947, kiedy to na wiosnę od Gronia, Szaflar, Wito-wa i innych podtatzańskich miej-scowości ruszyły kierdele owiec nie ku halom tatrzańskim, jak zwykle o tej porze, ale ku stajom kolejo-wym i gościńcom, wiodącym ku Pieninom, w nowosądeckie, w Gor-cie. Tam zieleniły się rozległe, pu-ste, „nieskoprytane“ łąki i hale ze świeżą trawą — doskonałą paszą, czekającą tylko na to, by się obro-cić w tłuste mleko, mięso, wełnę.

Redyk był tylko początkiem wiel-kiego przełomu w hodowli owiec na Podhalu. Dotychczasowa wydajność prymitywnej owcy górskiej, cacka, nie jest wystarczająca ani dla po-trzeb miejscowych, ani dla gospo-darki ogólnonarodowej. Jednym ze sposobów podniesienia hodowli jest właśnie insemnacja. Po kilku la-tach doświadczeń zabieg ten zo-stał wprowadzony w życie po raz pierwszy w roku 1950. Rzecz pro-sta, że nie obyło się bez trudności.

Opór górali był z początku bar-dzo duży. Teraz wspomina się te czasy na stacji, jak jakąś bardzo odległą historię, ale z opowiadań docent Kardymowicz i jej współ-pracowników wynika się cała epo-peja pionierstwa, cierpliwości, upo-ru. Sprzymierzeńcami w tej kam-panii była z jednej strony zawzię-tość naukowców, którzy za wszel-

JANINA WIERZBOWSKA

R E W O

ką cenę starali się przeprowadzić sprawę uznaną przez nich za służ-ną i konieczną, a z drugiej strony żytką hodowlana właściwa każdemu góralowi, jego ciekawość wszyst-kich spraw hodowlanych.

W pierwszym roku najczęściej za-dawano pytania „czy po insemna-cji jagnięta będą należeć do nas? Czy będziemy mogli swobodnie ni-mi rozporządzać?“ Jak zwykle zna-leżli się po wsiach ludzie, co od razu zaczęli straszyć, że jagnięta „pójdą dla państwa“, że owce się właścicielom odbierze, że przestaną oni swobodnie dysponować swoją własnością. W pierwszym roku in-semnacji bacywie — jeszcze pełni niechęci — przygnali owce tylko „z czystej ciekawości“, doganiali je trochę złośliwie, ot — doszli do wniosku, że owcom to przecież nie zaszkodzi raz spróbować, można po-patrzeć co to jest, a może nawet się nie lubianej placówce trochę przy tym dokuczy.

Więc pierwszego dnia ktoś tam przygnał 19 owiec, następnego ktoś inny 116, potem znów tylko 57, a dzień później — prawie 300.

— Chcieli nas zamęczyć! — śmie-ją się opowiadający. — Myśleli, że nie damy rady!

To „dawanie rady“ nie było wte-dy takie łatwe, bo czynny był tyl-ko jeden punkt. Zeby jakoś zache-cić baców, związać z tą stacją, a także doceniając ich doświadczenia i znajomość hodowli proponowa-no im, aby razem z pracownikami wojewódzkiego wydziału rolnictwa jeździli po okolicy wybierać i kwa-lifikować tryki. Było to zadanie poważne, bo dobrych reprodukt-o-rów; pochodzących z importu, było mało. Trzeba było selekcjonować najlepszy materiał na Podhalu. To zaufanie bardzo bacom pochlebilo.

Gospodarował wtedy na jednym cerklu pewien baka, który bardzo niechętnie odnosił się do stacji. Coś go tu jednak stać ciągnęło, przy-chodził często i robił awantury. Za-kimnął się na wszystko, że swoich owiec do insemnacji nie przeprowa-dzi.

Pewnego dnia, kiedy przez cały czas czekano na próżno, bo nikt się na punkcie nie zjawiał, już po go-dzinie czwartej wszyscy pracow-nicy zapakowali się na ciężarówkę i ruszyli w stronę Szczawnicy na obiad. Ledwo ciężarówka drgnęła, a tu zjawia się stary, wściekły, i zaczyna z miejsca: „Jak to? On przygnał aż 50 owiec, a oni by śmieli ich dzisiaj nie zainsemino-wać? Gdzie się w ogóle podziewa-ją? Już tyle godzin czeka na nich, na punkcie! Spacer po górach im w głowie! Zabawa, a nie praca!“

To było kłamstwem oczywistym, bo punkt opuszczono przed kwa-dransem.

— Zostawcie owce! Zabieg zro-bimy po obiedzie — zaproponowa-ła docent. Nie chodziło jej o to, że było już po godzinach pracy, bo z tym się tutaj nikt nie liczył — tylko wszy-scy byli strasznie głodni, a obiad w Szczawnicy można było zjeść tyl-ko w określonych godzinach.

— Co?! — wrzasnął baka — „Ich psim obowiązkiem jest być na punk-

cie i tam czekać na baców choćby cały dzień! Za to im placą. Każda owca musi być zainseminowana w jego oczach! Jak nie, to on im już pokaże, gdzie raki zimują: Do Nowego Targu pójdzie na skargę, że mu nie chciano owiec zainsemino-wać, choć przygnał. Do Krakowa! To tak wygląda opieka i po-moc rządu dla cacka!?“

Od razu było widać, że jest pod dobrą datą, jeć komedianstwo by-ło dobrze znane — a wszystkim burczało z głodu w żołądkach. Ale docent oświadczyła, że wracają na punkt. Nie szło o ewentualne skar-gi bacy, tylko o to, że awanturnik mógł owce rzeczywiście pognać z powrotem na halę bez insemnacji, a każda owca zainseminowana, no-siła w sobie najlepsze argumenty w zwalczaniu starych przesądów: — zdrowe, piękne jagnię. Tego oczy-wiście nie rozumiał baka, myślał raczej, że udało mu się „głupich ceprów“ zastraszyć.

Prasnął nagle kapeluszem i ciu-pagą o ziemię i ku przerażeniu wszystkich rzucił się na trawę, szurpiąc sobie włosy na głowie. „Przekatka!“, się parę razy, potem podskoczył, otrząpał spoźnie, pod-niósł kapelusz, ciupagę i powie-dział wesoło:

— No, jus me złoś odesła! Jus nie bedziemy się wadzić. Teraz póź-cie... inseminować!

To wszystko razem wydało się bardzo dziwne. Kiedy zbliżyli się ku stacji, docent pojechała do ko-szaru, żeby spojrzeć na owce. Za-chowanie bacy wyrzyło jej czu-łość.

Coś tu jeszcze wisiąło w powie-trzu...

Popatrzyła, popatrzyła i wreszcie powiedziała spokojnie, choć pełna gniewu:

— Natychmiast zabierajcie sobie swoje owce z powrotem. I więcej, żebyście się tutaj nie pokazywali. Myślicie, że my się na tym nie poznamy? Czy wam naprawdę nie wstyd?...

Owce mogły być zapłodnione tyl-ko wtedy kiedy „się grzeją“. Pod-stępny baka chciał ośmieszyć sta-cję i przygnał owce, które się „nie grzały“.

Wydarzenie to zakończyło pierw-szą serię trudności. Potem przy-szła wiosna, a z wiosną we wsiach góralskich przyszyły na świat du-że, zdrowe jagnięta, urody rzadko spotykanej na Podhalu. To oczy-wiście stało się argumentem, przema-wiający najsilniej za insemina-cją...

Tak jak w pierwszym roku wła-sciciele owiec przykazywali bacom idącym z redykiem:

Kie haw będzie to stucne, to niech was ręka bosko broní, cobys-cie moje owce haw zawiedli...

tak po tych pierwszych jagnię-tach zasadnicze zastrzeżenia i prze-strogi zmieniły się na polecenie: — Kieby haw było to stucne, to i moje moziecie haw pognać, bo u Wawrzka piknie się potym okociły...

To już było bardzo dużo.

Po drugim sezonie, licząc od chwili, kiedy stacja rozpoczęła swo-ją działalność — Mucha, jeden z

K r z e w

kędy taborczyków
do boju wiódł Żiżka.

— Tutaj — szepczą gruzi —
szedł on — siła ziemi,
zgmiotły pan Żiżka,
nie ma nic prócz cieni.

— Nie — mówi wędrowiec —
czas, młyn boży, miele,
powstanie duch Żiżki,
wrócą krzywd mściciele.

3

Tej zimy wcześniej drgnęła ziemia.
Spod złych, niewolnych lat
jak krzyk, jak śpiew zza bram więzienia,
lud na ulice wybiegł, kładł
jak bruk na jezdnię serca własne,
by Masaryka powrót czcić,
wolności obietnicę pić.
To były lata osiemnaste.

Na Praskim Zamku radzą. Wrzesień.
Cisza skupiona kraj zaległa.
Ta noc nadziei i uniesień,
godzina, zanim wzejdzie nów,
powie, czy będzie — Niepodległa.
W Pilźnie gromada młodych głów
pochyla się nad Manifestem.
I szybkie bicie serc uczniowskich
w bryle tej nocy rzeźbi zgłoski:
wolność i równość, sprawiedliwość.
Aż nagle ktoś z depesza wpadł,
przynosząc młodym wieść szczęśliwą.
I dłoń Fuczika nagłym gestem
porywa wieść i niesie. — Wiatr.

Dudnią w mrok okien jego pięści:
„Ludzie, tak wolność można prześnić,
Któż wam w tę noc sen taki dał!“
Któż się poruszył, westchnął, wstał.
„Wolność?“ — Zapytał smutno, zamilkł.
Schylił się nad nim jak ogromny
wskaźnik wznieiony ponad czas.
Tej chwili Fuczik nie zapomniał.
„Wolność, mój synu? Kto ją niesie?
Masaryk z Francji? Komu z nas?“

LUCJA NA JAWORKACH

najlepszych baców na Podhalu, cieszący się wielką popularnością, zwrócił się na zebraniu do zootechników w te słowa:
— Wej, widzimy, co wy dobrze chcecie, to i my sie dolożymy, co-by dobrze bylo!
W pierwszym roku mówiono pod adresem stacji z przekąsem: „wy i wasze barany“. W drugim zaczęto używać zwrotu: „my i nasze barany“.

Nowoczesny, reprezentacyjny budynek, położony przy drodze, wiodącej ku Białej Wodzie, należy do Powiatowych Zakładów Mleczarskich w Zakopanem. Godzina szósta rano. Idę z inż. Goettlem na baczność. Będziemy próbowali dzisiaj jakiegoś specjalnego sposobu wyrabiania serów, takiego, który pozwoli na wykorzystanie tłuszczu z serwatką. Serownia na Jaworkach ma charakter doświadczalny i jest prowadzona przez Instytut Mleczarski. Inżynier to jedyny w Polsce specjalista w tej dziedzinie. Już we wnętrzu baczni, podgrzewając palącą serą i wędząc się przy tym, jak prawdziwy „osycpek“, przyglądam się zabiegom inżyniera i pomagającym mu bez oporów, ale z pewną rezerwą, juhasów. Mimo palącej się waty i dymu kłującego w oczy, nie jest tu wcale za ciepło. Mały owczarek, biały, miękki kłębuszek wełny, grzeje mi stopy. Nie potrafię ocenić nowatorskich wysiłków inżyniera, operującego termometrem, liczbami, wykresami — i nie wiem, czy w staraniach o jakość lub większą wydajność zwycięży nowoczesne podejście z termometrem w rękę, czy umiejętności ustnie przekazywane z pokolenia w pokolenie. Widzę za to, jak w tej pozornie gładkiej współpracy przebiega zjawisko powszechne: walka postępu, który zresztą może błądzić — z tradycją, która w tym wypadku może być równie dobra, jak i zła. Nie jestem fachowcem od mleczarstwa, ani nawet konsekwentem serów. Co innego absorbuje tutaj moją uwagę: właśnie ta utajona gra.

Juhasi z nieprzeniknionymi twarzami, bez słowa przelewają mleko podgrzewają je, mierzą temperaturę, robią wszystko, czego tylko inżynier zapragnie. Ale kiedy spotykają się oczami ze sobą, w głębi ich źrenic czai się leciutka ironia. Jestem pewna, że po naszym wyjściu z baczni, ta ironia wyłduje się w żartach na temat inżynierskich „śtucek“. Czasem starszy juhas do młodszego — gdy myśli, że ich doprawdy nikt nie widzi — mrugnie wesoło okiem, jakby mówił: „Dobra jest, Jasiu, nie przejmuj się! Oni sobie niedługo pojdą i to paskudzenie się skonczy!“
Górale zawsze są trochę podejrzliwi i zawsze ostrożni tam, gdzie tylko idzie o jakąś nowość. Ale niech tylko z dzisiejszych prób wyjdzie ser dobry — przekonają się zaraz do nowego sposobu produkcji i prawdopodobnie dadzą temu wyraz jakimś żartem, jakimś powiedzonkiem w rodzaju: „paćkoł, bo

paćkoł, ten inżynier, ale ser wy-dajął jak sie patrzy“. — I na drugi raz: słuchać już będą inżyniera z pełnym przekonaniem.
Chwilami juhasi toczą między sobą skąpe rozmówki:
— Iłidno owiecka, becy i becy... (Są ciali na wszystkie owcze cierpienia).
— Wej, bo barana sie ij chce!



Tadeusz Kulisiewicz: ze Szlembarku

— Abo jed...
— A nie cknij się wam za domem?
— pyta inżynier, włączając się w rozmowę.
— Kie sie okrutnie cni, to doma jedziemy... Ale Jaśkowi nie cni sie za domem, a za Sanockiem, bo on haw kochanecko mo!
— No to trzeba, żeby tutaj przyjechała. To się nie będzie Jasiowi tak cknilo! — powiada inżynier, wolno krując „harfa“ na pół stężoną po podgrzaniu żętyce.
— E, panie, co wy ta pedacie! — mówi poważnie najstarszy juhas. — Wtedy to wilki syckie owce by zeziarly...

— bo wilk przede wszystkim atakuje gardło. Niedawno w pobliżu Jaworek, na jednej wsi zabił w biały dzień trzy owce. Nie mogę się pogodzić z tym faktem, że wilki mogą tak bezkarnie pomiędzy nami grasować. Wiek dwudziesty, Nowa Huta... Gdzie tu miejsce na wilki?
A właśnie rozmnożyły się, rozrzucały, zaturawiają góralom życie. Zaczęło się to w czerwcu 1952 roku i tak sobie niezmęczenie trwa. Odpędza się je krzykami, paleniem ognisk, jak za króla Cwiczka, całymi nocami czuwają przy owcach juhasi, a i tak upilnować ich nie

mogą. Wilk jest mądry, sprytny, spenetrował, że z bronią się nie spotka, a z o owczarkiem da sobie bez trudu radę. Wystarczy zresztą, że tylko spłoszy owce — ruszają wtedy lawiną i traktują się nawzajem, potem rozpraszają się po skałach i zaroślach przerażone, juhasi nie są w stanie od razu ich ogarnąć; wtedy wilk może wybierać. I

czepiła się czerwona gwiazdka — ognisko, wiatr przynosi czasem echa okrzyków. — „Pewnie znowu Gabrysiom nie dają spokoju!“ — powiedział baba.
Ta noc jest tym ważniejsza, że popokonaniu różnych trudności i po dłuższych pertraktacjach, przybył nareszcie na Jaworki myśliwy, stary góral spod Babiej. Podchodząc

niego to codziennie, raczej conocny chleb...

Jesteśmy znowu na stacji inseminacyjnej... Zgodnie, obok siebie, w niezwykle absorbującej rozmowie, idą przez podwórze, aby „zaglądnąć do baranów“ (tu ciałe ktoś musi „zaglądnąć do baranów“) — kółszącym się, powolnym, a równocześnie jakby uskrzydłym krokiem przystojny baba z Gronia; obok niego drobny szybkim krokiem mała pani docent, w szarym kostiumie, z ciasno upiętymi do tyłu głowy warkoczami. Mają ze sobą mnóstwo spraw do omówienia. Docent, która zorganizowała całą „naukową stronę“ inseminacji wierzy w doświadczenie bacy, baba wierzy w jej wiedzę.
Obok w podwórzu inna z charakterystycznych na Jaworkach sylwetek: baba Mucha, nazwisko cieszące się zasłużoną sławą nawet w Krakowie... Mucha omawia właśnie jakieś niechętne „papierowe“ sprawy z „weterynarią“, jak się tu na Jaworkach potocznie mówi. „Weterynaria“ oczywiście trzyma cały plik papierów w swoim ręku i uważnie przysłuchuje się wywodom bacy... Zapoznający się dopiero z nowym terenem, odpowiedzialny za wszystko, od sieniników do igieł w strzykawkach, za zdrowie ludzi i zwierząt, skrupowany nie zawsze odpowiednimi instrukcjami z góry — doktor weterynarii, starszy, spokojny pan ma „urwanie głowy z tym wszystkim“...

— No, a teraz to muszę popatrzeć, co z tym baranem robia! — przerywa Mucha ważną konferencję i idzie za sanitariuszem, niosącym watę i opatrunki. Na ziemi, przytrzymywany przez dwu pomocników, leży baran. Przy jego okaleczonym kopytku majstruje coś weterynarz. Dokoła stoją wszyscy obecni w tej chwili babcie i juhasi: Siuty, Zapotoczny, Gabryś starszy, Chodorowicz, Mucha. Dogadują, gdzie trzeba naciąć, aby materia wyszła, gdzie nacisnąć, bo i tam może coś być; gdzie jeszcze zajrzeć.
Po kilku minutach zabieg dobiega końca, a na chore kopytko sypie się jakiś żółty proszek i nakłada opatrunek. Mucha podnosi się z kłęków ze słowami:
— Wej, wiedzieli! Dochodzi tak samo, jak i my! Ino my sinym kamieniem!
Powiedział to tak, jakby się z tym zwracał wprost do barana.

Górale mają zabawny sposób przemawiania zwierzętom do rozsądku: „Ej, cieliś... stójcie!“ „Cieliś, gdzie leżesz?“ „Baran, hej, baran“. Rozróżniają doskonale owce i zależnie od nieuchwytnych dla nas szczegółów urody — nazywają je „bielicka“, „kurniata“, „okaista“, jak ma ciemne kręgi koło oczu. Ta nomenklatura jest w pewnym stopniu ważna również dla nauki i zootechnicy chętnie używają porozumiewając się z góralami ich słownictwem.

Jaworki są ośrodkiem, gdzie nauka stara się ogarnąć wiele problemów związanych z hodowlą owiec...

Jaworki to nie tylko dobre tereny wypasowe, łagodne hale, opadające wąskimi tarasami, poznięte dzikimi wąwozami, otulonymi w leszczynie. Jaworki promieniują na całą góralszczyznę. Ta nazwa dociera do najbardziej zapadłych góralskich wsi, do pojedynczych, zagubionych góralskich gospodarstw, gdzie się hodzi choćby tylko kilka, nawet najbardziej zabiedzonych owiec.
Jaworki! W tym słowie mieści się cała hodowlana rewolucja: długa walka i opór, zacofanie i postęp, nowe i stare, walenie głowy o ścianę, wreszcie sukces i zwycięstwo.
W małym domku, położonym bardzo blisko stacji inseminacyjnej, znajduje się placówka PAN. Siedzi tu botanik ze swoimi pomocnikami i zajmuje się „problemem koszarzenia“. Nazwa ta pochodzi od żerdziowych płotków, ograniczających miejsce, gdzie stoją owce na halach, wtedy, gdy się nie pasą.
Kiedy się człowiek choćby trochę orientuje w zagadnieniach hodowli w ogóle — przestaje się dziwić temu, że na dźwięk dwu magicznych słów: „baza paszowa“ — podnoszą się wszystkie głowy, a owce stojące w koszarach — jakby zaczynały strzyc uszami.

„Wszystko byłoby bardzo łatwe i proste, gdyby nie... baza paszowa“. Towarzyszą tym słowom bardzo z troskane miny i ludzi i zwierząt.

Owce spędzają na halach pięć miesięcy w roku. Przez pięć miesięcy pracowicie obgryzają każdy metr trawy, jaki się znajdzie w zasięgu ich niezmordowanie skubiących warg. Niczego więcej nie dostają — chyba tylko sól — a muszą zrobić sobie pewne zapasy na zimę, bo „złoto hal“ w gospodarstwach górskich odżywia się najostatniejszymi odpadkami, których nie przeknie ani koń, ani krowa.
Pasma letnia powinna być obfita i wyjątkowo wartościowa. Owce potrzebują rozległych, soczystych pastwisk. Z tego powodu „redykają“ się od kilku lat. Ale chodzi także o to, by dopomóc przyrodzie i nie dopuścić do takiego zniszczenia hal, takiego ich „skopyrtania“, jak to miało miejsce przed kilku laty w Tatrach. W tym celu placówka PAN przeprowadza na Jaworkach szereg badań.

Właśnie w roku 1952 przybytek owiec na Podhalu był bardzo mały, prawdopodobnie na skutek suchego lata, skąpego w trawę... Ale owce dwu najlepszych hodowców: Muchy i Chodorowicza miały piękne jagnięta, dlatego, bo je starannie dożywiano...

Pewnego popołudnia rozmawiam z docent Kardymowicz w jej oo-

(Dokończenie na str. 7)

śpiewający

Nad sercem noc i mroczny wrzesień. I gwiazda w nim wstająca. Marks.

Pod arkadami Złotej Pragi, którą rzeźbiły dawne mistrze, chodzi i woła: „Król jest nagi!“ i w twarz bankierom sytym gwizdże. — Czy nie za wiele tej odwagi, studentie młody? Wstydy się, wstydy. Cóż to za słowo „lud“ ci bliższe? Ach, czy nie lepiej z nami tyć?

Któż, przed kim stoją drzwi na oścież (ach, cóż za czoło, pióro, myśl!), gdy — chcąc go ustrzec — prawomyślni głodem i chłodem karzą błąd, te „bolszewickie“, zle skłonności, — któż zamiast „przejrzyć“, w tuszcz porosną, wolały w zatwardziałość popaść, dla chleba raczej ziemię kopać lub iść murarskich słuchać kłatw?

On siedzi. I nieraz — kiedy mówił, milknęły kielnie, cichnął miot. I czy to szumił ptaków lot, czy to szczerł jakiejś dawnej broni ponad głowami ich przelatują? Nie, to wygnańcy szli ze świata, zmarli poeci. Wsparty o nich, o sprawiedliwej walce trud, co drażył nędzy ludzkiej wieki, dom marzeń wznosił niedaleki, dokąd wygnańców wezwie lud.

I w „Wiener-Hausów“ bordo plusze, w wiedeńskie walce coś się wwieca. „Wykłęty, powstań...“ słysząc śpiew przy fuczikowskiej harmonice, drżeć poczynają c. k. serca. I krzyczą strasznych mieszczań dusze: „Gdzie rząd, policja? Gdzie są szpicle?!“ Są. Lecz co chwycić, śpiew czy śmiech,

co się już górą gdzieś przetoczył, w zaufki staromiejskie wpadł, dziewczętom w locie zajrzał w oczy i przewiał jak gorący wiatr?

Lotna mewa się kąpie na wietlawskich wód progach. Jak iść lekko, gdy wątpień brak i jasna jest droga.

Śpiewać. Śpiewu tak trzeba, jak powietrza i wody. Z ramion dziewcząt żar zbierać, niby pszczoła swe miody.

Biec po łąkach Szumawy, lasach w ciszę wsłuchanych, słyszeć w szepkach jej trawy leśne rogi Smetany.

Więzionemu — przez kratę nucić cicho więzienną, szeptać „wróć“, gdy światłem rudym zachód darł ciemność.

Śmiać się prosto w twarz władzy, toczyć walkę i w celi, gdy zwalniali, od razu tam powracać, skąd wzięli.

Woń ziół chłonać i ziemi. Wierzyć: przyjdzie ta chwila, kiedyś — będą strudzeni nad nią też się pochylać.

W rewolucji prąd wyciąć, być wysokim jej drzewem. A ty, tkliwa Gustyno? — Jęgo światłem i śpiewem.

A dokąd znowu, mój młody panie? Tam wies i sieci u plotów.

Z „Pieśni o Juliuszu Fucziku“

Czy po bretońskie jedziesz śpiewanie, po stuk drewnianych sabotów?

Oj, piękne są w tej wiosce dziewczeczki, a najpiękniejsza Manon. Oj, ale smutne są tu piosneczki, lalan, elon, lalan elon.

O tym rybaku imieniem Piotr, lalan elon, lalan elon, jak wyszedł kiedyś rankiem na strą i ujrzał tam biedną Manon.

I odtąd kiedy odpływał w świat, lalan elon, lalan elon, białe kolana szły za nim w ślad, lalan elon, lalan elon.

Strugał saboty dla swej Manon, lalan elon, lalan elon, saboty dał, kolana wziął, lalan elon, lalan elon.

A gdy go starość zwała z nóg, lalan elon, lalan elon, miał za pociechę sabotów stuk, lalan elon, lalan elon.

I o tym smutnym żywocie wdowim, lalan elon, lalan elon, gdy życie weźmie sztorm rybakowi, lalan elon, lalan elon.

Lub ta pieśń stara o sercu matki, lalan elon...

Przestań. W Douarnenez nikt nie śpi. Tam strąk. Tam pachnie krwią. Tam inne dzisiaj śpiewają pieśni: Allons enfants! Allons!

Ja im ten okrzyk wiozę z mej ziemi, niech rybak bretoński wie: powstał i płynie łądem i morzem ludu gniew.

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

Pare uwag w związku z „Piątką z ulicy Barskiej”

Słyszmy o „Piątce z ulicy Barskiej”, że jest najlepszym polskim filmem w ciągu dziesięciolecia, w recenzjach znajdujemy słowa entuzjazmu: „Wielkie, odkrywcze dzieło sztuki”, „Reżyser potwierdza swoje twórcze oblicze artysty”. Gdy po tych opiniach ogląda się wreszcie film, doznaje się zawodu, mimo że „Piątka” należy z pewnością do udanych pozycji naszej kinematografii. Ponieważ zaś czekujemy — rzeczywiście! — na „odkrywcze dzieło sztuki” i filmowcy nasi, wciąż się doskonaląc, z pewnością do niego dojrzejemy, warto poświęcić trochę uwagi pytaniu, czego „Piątce z ulicy Barskiej” nie dostaje, by zasłużyła na wysoką hierarchię, jaką jej pochopnie przyznano.

1. LITERATURA. Treścią „Piątki” jest przemiana bandy młodocianych chuliganów, którzy porwani wirami odbudowy Warszawy, przekształcają się w dojrzałych obywateli. Zdarzyło się u nas dziesiątki tysięcy podobnych procesów wychowawczych; mamy tu więc do czynienia ze zjawiskiem typowym. W „Piątce” przedstawione ono jest jednak w sposób nietypowy: za pomocą sensacyjnej fabuły. Czy młodzi ludzie w Polsce spędzają znaczną część życia w kanałach podziemnych, wydobywając ukryte ładunki dynamitu, zdolne wysadzić trasę W-Z? Czy udaje im się, w ostatniej chwili zlikwidować bandę, która pragnie zniszczyć całą budowę, i to akurat w nocy przed jej uroczystym otwarciem na 22 Lipca?

Takie zdarzenie niezwykle nie przekreśla, oczywiście, typowości: w „Otelu” widzimy, jak Murzyn dusi ukochaną żonę, co nie trafia się każdemu; każdy jednak doznaje uczucia zazdrości i wygląda ono tak właśnie, jak Szekspir odmalował na przykładzie wyjątkowej i krwawej historii Otella. Sensacyjność „Piątki” nie byłaby więc zarzutem, gdyby stanowiła tło dla codziennej prawdy życia młodych warszawiaków. Tak jednak nie jest: fabuła „Piątki” zaczerpnięta jest ze schematu literackiego typu „Przygody Tomka Sawyera” i w ciągu filmu reżyser porzuca realistyczną obserwację środowiska, opowiadając już tylko naga, szablona sensacja. Nie oszczędzono nam nawet matki, która zawirowała, bo syn nie wraca do domu, który to widok nawraca na dobrą drogę chuligana, sprawcę zaginięcia owego syna: wysłuchawszy jej kłów matki, i przyrzeczszy się rozdzierającemu spojrzeniu siostry zabitego, chuligana wraca z pokniętym sercem, gotów wejść na drogę poprawy... Scena podobna powtarza się w banalnych powieściach, filmach itd., wiele tysięcy razy i użyć jej jeszcze raz można tylko wtedy, gdy napelni się ją nową ludzką treścią — czego nie da się powiedzieć o jej pokazaniu w „Piątce”.

Gdy oglądamy arcydzieła filmu realistycznego, jak „Dziecinstwo Gorkiego”, „Trylogię o Makymie”, „Złodziei rowerów”, czy „Nadziei za dwa grosze”, widzimy, że filmy te nie opowiadają zdarzeń sensacyjnych. W „Dziecinstwie Gorkiego” młody bohater dojrzeja na tle przeciętnej rodziny mieszczańskiej. W „Złodziejach rowerów” treścią filmu jest codzienna dreptanina po ulicach wielkiego miasta, w poszukiwaniu skradzionego narzędzia pracy. Sztuka tych filmów polega na obserwacji życia codziennego oraz na analizie przeżyć bohaterów — przeżyć drobnych, które w całości pokazują nam przeciwie wielki problem moralny: dojrzewanie Gorkiego, który nabiera pogardy dla swego małodulznego otoczenia, — czy też rozpacz bezrobotnego, walczącego o resztę swej ludzkiej godności, o ocalenie dziecka, w „Złodziejach rowerów”. Reżyser „Piątki” więcej by może dokonał, gdyby zamiast melodramatycznej strzeżaniny w podziemnym kanale, pokazał nam np. ową tak charakterystyczną, nie spotykaną w żadnym innym mieście postawę wyrosł.ów warszawskich — widok typowy dla naszej ulicy, — którzy z rękami w kieszeniach i z miną wzgardliwą, stojąc po kostki w błocie, godzinami obserwują działalność młota pneumatycznego czy nieznaną typ samochodu, zapewniając, że wykonaliby znacznie lepszy, gdyby im drutu i blachy nie brakowało; o nich to, za jakiś czas, czytamy ze zdziwieniem, że wyrobili 500 proc. normy. Nie wiem, czy podaje tu przykład szczęśliwy, nie będąc sam doświadczonego obserwatorem; ale od artysty-realisty mamy prawo wymagać, by dostrzegł to na co nasz wzrok już odepierał — to właśnie robią filmowcy włoscy, to stanowią siłę Dońskiego, gdy pokazuje jak wnuczek starego Pieszkowa rozgrzał nad ogniem naparstek dziadzia-krawca, jak dziadzio rzytał oparzony, i jak skatował malego Gorkiego, co kompletnie zmieniło poglądy przyszłego pisarza na temat autorytetu rodziny burżuazyjnej.

2. MIŁOŚĆ. Uczucie to wpływa decydująco na przemianę Kazika, głównego bohatera „Piątki”. Zakończył się on we wzorowej (i schematycznej) zetepmówce, osobie niesłychanie aktywnej. (Zajmuje się ona kolejno: kontrolą pracy koparki mechanicznej, następnie studiami uniwersyteckimi, następnie macha łopata na trasie W-Z, uczy analfabetów,

pełni dyżur w szatni na zabawie, zaś ukochanego namawia, by poszedł na milicję i wyznał wszystko co go dręczy). Z pierwszych scen odnosimy wrażenie, że jest to dziewczyna zawzięta, energiczna, pełna pasji trochę szczeniackiej, lecz uczciwej. Nie jest to typ oryginalny ani nowy, lecz prawdopodobny, — mógłby się stać żywym, gdyby film zaobserwował charakterystyczny sposób bycia podobnych dziewcząt. Możemy sobie wyobrazić, że właśnie świeżość, naiwność, namietność do życia, roznosząca tę dziewczynę, mogła porwać i odmienić Kazika. On sam jest również bardzo młody; twierdzi, że ma lat 17, by podlegać jurysdykcji sądu dla nieletnich, — ma zapewne więcej, niemniej jest jeszcze chłopcem. Być może, w przeszłości widział niejedno, jak wszyscy, którzy dojrzewali w straszliwych latach wojny i nie jest już dzieckiem, ma może nawet powody, by w sprawach uczuciowych być cynicznym. Może też w trudnym swoim życiu nigdy nie zetknął się z zagadnieniem kobiety? W jednym i drugim wypadku: gorzkiego, przedwczesnego zblazowania, — czy też zupełnego braku doświadczeń, — miłość musi być dla niego faktem nowym, wstrząsającym go głęboko.

To uczucie, rozstrzygające los bohaterów, pokazane jest w „Piątce” w sposób abstrakcyjny. Mielismy niedawno we włoskim filmie „Nadziei za dwa grosze” przykład świetnie zaobserwowanej miłości bezrobotnego w małym miasteczku i malej ślicznej wariatki; mimo jego nędzy, mimo jej pychy i dzikości, uczucie triumfuje i otwiera się droga do lepszego życia: nie wątpimy w to ani na chwilę. Inaczej jest w „Piątce”. Kazik i Hanka poznają się... za pomocą zbliżeń operatorskich. Po chwilowym boczeniu się wzajemnym, bohaterowie spotykają się na balu sylwestrowym. Jest to fantastyczna zabawa, jakiej nikt nie widział w Warszawie: festyny, maski, fezy niby na korso weneckim. Można było przecie pokazać charakterystyczny nastrój warszawskiej sali tanecznej, z owymi zdeglutowanymi bywałcami pod bramą, którzy z tych czy innych powodów pozabawieni biletu wstępu, usiłują odwieźć na dom, by był bardziej wyrozumiały, — ze sposobem tańca i rozmowy, sztywnym nieco, lecz ukrywającym, pod pozorem godności, ciepło niezręczne i wzruszające. Nic z tej knajackiej warszawskiej zabawy — zamiast tego, banalny „bal filmowy”. Tu bohaterowie się spotykają, i nagle wpadają w ton opatrzonej ballady kinowej — całują się w usta w stylu „fotowsom” (znawca obyczajów Warszawy współczesnej zapewniał mnie, że u tej młodzieży, wstrzemięzliwej po pozor, lecz pełnej uczuciowej powagi i wewnętrznej namietności, — pocałunek tego typu nigdy nie zaczyna miłości, ale ją koronuje). Następuje szalony oberek w stylu „Młodość Szopena”, po czym aparat przechodzi na okno pokryte watą oplekarską, za którym opadają zwolna kartki papieru kancelaryjnego, z widokiem na makietę z pięknego kartonu kolorowego (zima). Obraz ten służy do nagłej zmiany pory roku: bohaterowie idą przez ruiny warszawskie, lekko ubrani, bo jest już czerwiec, przylet dziewczyna stawia Kazikowi to samo pytanie co pół roku temu (ale zaledwie przed sekundą — na sali projekcyjnej): co za meczące go sprawy ukrywa przed nią? W ciągu tych sześciu miesięcy rozegrała się właściwa, ludzka akcja filmu: dzieje miłości, przemieniającej bohatera. Miłość ta w ogóle nie jest pokazana, tylko jej zewnętrzne, pocztówkowe objawy: Kazik leży obok swojej dziewczyny, nakrywa ją przed deszczem, obserwują razem zachód słońca (muzyka — chóry, etc.). W dalszym ciągu filmu bohaterka zaczyna wuj się jak rożnawa ciocia, wygląda jak maksymy w rodzaju „Tylko ten jest zgubiony, kto się uważa za zgubionego” itd. Reżyser wymyślał centralną sprawę filmu: odbyła się ona poza nami, w granicach dwóch ciachniek nocnymi.

3. MONTAŻ. Kwestia owych nozyc; pewien reżyser teatralny, kolega W., dzieli się z nami ciekawymi uwagami:

„Montaż decyduje o stylu, jest „językiem filmowym”, podobnie jak np. strofa i rytm w poezji. Otóż widzimy ze zdziwieniem, że reżyser stosuje w „Piątce” montaż skojarzenia formalnego, typowy dla filmu niemeo, dzisiaj prawie nie używany. Na przykład: matka jednego z chłopców rzuca zmywany talerz — słyszymy jego stuknięcie o miskę — zaraz potem dźwięk tłuczonej butelki, jesteśmy już gdzie indziej, wśród pijaków itd. Film współczesny zanichał tego automatycznego kojarzenia, dziś sądzi się raczej, że kamerą należy charakteryzować człowieka, lub wytykać sytuację dramatyczną; montaż winien dawać pointę psychologiczną”.

„Montaż uciekający, wymijający człowieka jest, niestety, regułą w „Piątce”. — np. w scenie, gdy majster-szofer koparki usiłuje przestraszyc dziewczynę, która zabrania mu kopać nie według linii. Puszcza on w ruch kran maszynny, który przesuwa się tuż nad jej głową. Jak wygląda montaż tej sceny? Widzimy wystraszoną twarz Kazika — potem ręce bohaterki, która wbija sobie paznok-

cie w ciało — i w momencie, gdy kran ma już już zmiadzić jej głowę, ekran pokazuje nam ostrzegawczą tablicę z trupa czaszką i dwiema piszczałkami. Obraz ten nie wnosi nic nowego, bo i tak wiemy, że dziewczynie grozi niebezpieczeństwo. Chwył podobny byłby uzasadniony, dajmy na to, w scenie, gdy dwoje kochanków wchodzi na pole minowe, przylet tablica ostrzegawcza, zmurzała leży w trawie, i bohaterowie jej nie dostrzegają, — ale widzi ją publiczność, stąd płynnie niepokój, napięcie dramatyczne. Tutaj, w „Piątce”, zarówno widzowie jak wszyscy uczestnicy sceny zdają sobie sprawę z grozy sytuacji, więc wmonowanie tablicy z czaszką jest daremną stratą czasu i to w momencie, gdy zbliża się punkt kulminacyjny. Reżyser bawi się tu chwytami montażowymi, zamiast pokazać nam ludzką sprawę: twarz dziewczyny, walczącej ze strachem, przerażającą, i korzystając, że pochylił głowę nad zeszytami, wypisuje na tablicy: „Przyjdź na zabawę sylwestrową”. Zastanawiamy się, dlaczego postępuje ona w sposób tak wymyślny: przecież byłoby napisać zaproszenie na kartce i dać ją chłopcu do ręki. W tym momencie analfabeci, nie wiadomo dlaczego, podnoszą głowy (nie umieją pisać, powinni być dłużsi gryzmolić), i spostrzegają prywatny napis na tablicy. Nie okazują jednak żadnej reakcji, uśmiechu czy czegoś podobnego. Kazik wsiaje i wychodzi ponuro, skrzypiąc drzwiami równie przeraźliwie co poprzednio”.

„Inny przykład formalizmu montażowego: bohaterka uczy analfabetów (czego ona nie robi!) w wielkiej sali. Rozlega się dramatyczne skrzypienie drzwi — wchodzi Kazik skradającym się krokiem (czy zacznie strzelać? — jesteśmy bowiem w poetyce montażowej filmu gangsterskiego). Siada jednak. Bohaterka, która na tablicy wypisała przykład dla analfabetów, poleca im go skopiować, i korzystając, że pochylił głowę nad zeszytami, wypisuje na tablicy: „Przyjdź na zabawę sylwestrową”. Zastanawiamy się, dlaczego postępuje ona w sposób tak wymyślny: przecież byłoby napisać zaproszenie na kartce i dać ją chłopcu do ręki. W tym momencie analfabeci, nie wiadomo dlaczego, podnoszą głowy (nie umieją pisać, powinni być dłużsi gryzmolić), i spostrzegają prywatny napis na tablicy. Nie okazują jednak żadnej reakcji, uśmiechu czy czegoś podobnego. Kazik wsiaje i wychodzi ponuro, skrzypiąc drzwiami równie przeraźliwie co poprzednio”.

„Scena ta stanowi przejście do spotkania na balu, które nie mogło się odbyć bez zaproszenia, — jest jednak rozbudowana bez uzasadnienia psychologicznego czy dramatycznego; reżyser, który gdzie indziej lekko przeskakuje całe miesiące ważnej akcji, tutaj zabawia się rozróżnieniem za pomocą próżnego montażu”.

„W scenie tej przejawia się też niedbalosć w charakterystyzowaniu tłum, widoczną również w nudnym zerwaniu robotników trasy W-Z, gdzie kamera pokazuje dziesiątki tępych twarzy, nie indywidualizując, nie wybierając, nie komponując. W scenie w sądzie, gdy na chłopców spada nawał oskarżeń, twarze świadków pokazane są kolejno bez charakterystyki, niby przez fotografa ulicznego. Główny więc zarzut, jaki postawiłbym montażowi „Piątki”, brzmi: zbliżenia nie służą tu do prezentowania człowieka, ale stanowią grę formalnych skojarzeń”.

4. CHARAKTERY. Skarżanka w roli sędziego nieletnich jest osoba, nieprzyjemna, nie wiadomo czemu fotografowana bez filtru. Dlaczego do roli tej wybrano piękną dziewczynę, i poecono jej być groźną, odradzającą, cedzącą słowa? Kobieta-sędzia widnieć mieć wiele zainteresowania, życzliwości, nawet ciepła dla swoich pod sądnych, — co nie wyklucza stanowczości. Niezrozumiałą figurą jest Zenon, organizator bandy i zamachu na trasę W-Z. Nie wiemy nic o nim: co to za „linia” polityczna, czy ma rodzinę i jaką, co zamierza, co sądzi? Jest to postać absolutnie schematyczna. Nosi się na sposób gosiowiata, trzyma w kieszeni rewolwer wraz z krzyżem, jego twarz melodramatycznie wpadnięta i oczy z przesadnie czarnymi brwiami przywodzą na myśl prowincjonalnego Mefista. Jako spiskowiec jest do tego stopnia niedołężny, że gdy chce wykonać wreszcie swój zamach, jaka banda, która w międzyczasie zmieniła poglądy, tak że tego nie zauważył, obraca się przeciwko niemu, leje go i wydalę w ręce milicji.

Świetni natomiast są czterej chłopcy z owej chuligańskiej piątki (pięty nie robi). Ale uwaga! Czy jest to zasługa dramaturgii filmowej? Film bowiem — powiedzmy to sobie — nie pokazuje żadnej „przemiany”. Chłopcy ci od pierwszej chwili pragną zostać zacynymi, tylko na to czekają, tylko o to proszą! Już w pierwszej minucie, gdy biegiem, uradowani opuszczają salę sądową, wiadomo, co się musi zdarzyć i podobnie biegiem można by opuścić kino. Nie widzimy w nich walki, niepewności, odmiany: czy w momencie, gdy ich poznajemy, gardzą oni tak głęboko Polską Ludową, jak chciałby reżyser? Ależ skąd! Już jak kochają w głębi serca, podobnie jak reżyser, niezdolny ująć innego dla niej uczucia *).

Cóż się jednak dzieje? Te papierowe postacie obsadzone zostają przez najlepszych aktorów filmowych, jakich widzieliśmy w ciągu 10 lat naszego kina. Im to „Piątka” zawdzięcza 90 proc. sukcesu, tj. złudzenie prawdy, jakiego doznajemy nieraz podczas projekcji. Bądźmy sprawiedliwi i dla reżysera: Ford doskonale kieruje młodymi aktorami, jak to udowodnił już lat temu 25 w „Legionie ulicy”. Szczególnie dobry

jest Janczar (również Rulka i Stoor): mamy tu wreszcie aktora o „wnętrzu filmowym”. Mówi się często o aktorze, że ma „wnętrze”, tj. daje nieodpartą sugestię prawdy swych przeżyć. Ale aktorzy teatralni, nawet ci „z wnętrzem”, wyglądają sztucznie na ekranie. Janczar ma „wnętrze” właśnie filmowe; można w nim upatrywać nadzieję naszej kinematografii.

5. TOPOGRAFIA I BŁĘDY TECHNICZNE. Różni rozmówcy zwrócili nam uwagę na zamieszanie topograficzne filmu. Dzieje się on w rozmaitych izbach mieszkalnych, przeważnie lichych, ale dekoracyjnie nie dość scharakteryzowanych, tak że nigdy nie wiemy w czym pokoju jesteśmy. Ze wszystkich tych nor wychodzą stale na tę samą uliczkę pośród gruzów. Dlaczego nic więcej nie widzimy z Warszawy, poza przechodniakami za szybą w barze (gdzie jest ten bar? — nie poznajemy okolicy). Kwarta chłopców mieści się w ruinie, do której prowadzi wąska deska trudna do przejścia. Widzimy Kazika jak wchodzi tam pijany, demoluje w ataku wściekłości urządzenie (tj. demoluje ruinę! — ta scena nieprawdopodobna była potrzebna, by uzmysłowić — zbyt mechanicznie! — jego rozterkę), po czym biegnie na leśną szyję, tak że pewni jesteśmy, że zginie na owej kładce. A jednak nie! Warszawa w „Piątce”, niesety, jest makietą, najpierw ruin, potem trasy W-Z (z muzyką i chórem). Połowa akcji odbywa się w fantastycznych kanałach, co wcale nie podnosi dramatyzmu (najnudniejsza scena: gdy Kazik i Zenon gonią się bez końca, montaż pokazuje to jednego, to drugiego, to jednego, to drugiego, chlup wody i.d., przylet wiadomo z góry czym się to skończy. Miał to być punkt kulminacyjny!). Postać zagadkowa: ciotka Kazika, która w ciągu całego filmu zmywa naczynia (Chojnacka). Musi ona mieć tysiące sztuczek, co jest mało uzasadnione, bo poza nią i siostrzeńcem nikt tam nie jada (ten ostatni rzadko). Kolor twarzy: indyjski. Barwy górujące: niebieska farba do bielizny oraz brunatna sepi. Ilekroć kto zapala zapalnicę w ruinach, zjawia się zaraz reflektor z kregiem światła, tak że wydaje się czasem, że słyszymy przykniecie kontaktu w kabine elektro-technika, itd. itd. itd.

KONKLUZJE. Nagromadziliśmy tutaj wiele zarzutów przeciwko „Piątce” — same zarzuty, co może dawać wrażenie zaciekłości. Wrażenie to byłoby niesłuszne. Założenie nasze było od początku: „odpowiedzieć na pytanie, czego „Piątce” nie dostaje, by zasłużyła na miano wielkiego dzieła sztuki filmowej”. To znaczy: że już jest mowa o możliwościach naszego filmu na arcydzieło. Do „Piątki” przystawiliśmy najwyższą podziałkę wymagań z dzieł filmu: Pudowkin, Donski, Kozincew i Trauberg, de Sica. Nie stosowaliśmy jej do innych naszych filmów. Ale pamiętajmy też, że przedwczesne jubelowanie, euforia i entuzjazm paraliżują rozwój naszej sztuki: do wielkiego dzieła dotrzeć możemy tylko wtedy, gdy będziemy go się z uporem domagali. W przeciwnym razie, grozi nam przygoda owego hodowcy z Głuska pod Łęczną, który całe życie produkował „dynię najlepszą we świecie”, gdy zaś już ją wysłał na wystawę międzynarodową, dostał 250 miejsc, bo przed nim 249 dyni było lepszych.

W każdym razie, „Piątce” warto poświęcić najbardziej szczerą uwagę, warto czepiać się, z głęboką powagą, drobnych szczegółów. Co nie zmienia faktu, że jest to film o fabule sensacyjno-melodramatycznej, z postaciami schematycznymi i montażem formalistycznym — jako odkrywcze dzieło sztuki niżej stojący od „Ulicy Granicznej” tego samego twórcy. Ma przecie rytm, dynamikę, aktorów, — i chwilami mówi coś, co zbliża się do prawdy o naszej codziennej rzeczywistości. Nie nazywamy go daremnie arcydziełem. Jego schematyzm ma przecież wartość: owego młodzieńczego romantyzmu, jakim owiane są szlachetne, mimo że sztampowe postaci bohaterów książek z przygodami. Krzysztof Toeplitz sądzi, że „Piątka” stanowi już „sprawę dla dorosłych”, w przeciwieństwie do innych naszych filmów. Może jest to dowód młodzieńczości tego tak twórczego krytyka, który chciał powiedzieć, że jest to wreszcie film dla niego? Bo do określenia Toeplitza należałoby wprowadzić poprawkę: „Piątka” jest filmem dla dorosłych — do dyskusji, dla młodych natomiast — świetnym filmem do oglądania.

Zygmunt Kałuziński

*) Mimo pozytywnego nastawienia bohaterów, sprawa zabójstwa ich kolegi nie jest moralnie rozwiązana: obowiązkiem chłopców byłoby przyznać się do tego, przypadkowego zresztą, przestępstwa. Odnosimy tymczasem wrażenie, że kieruje nimi lęk o własną skórę i wolą zostawić rodzinę zabitego w straszny niepokój, niż narażać się samym — co pomniejsza wartość ich przemiany wewnętrznej. Pamiętajmy też, że nie jest to — jak nam fałszywie sugeruje reżyser — problem Makareni, to jest młodzieży zaniedbanej, ale chętniej do poprawy, lecz problem członków bandy politycznej, składających tajemną przysięgę organizacyjną.

Formowanie siły

(Dokończenie ze str 3)



Chłop liczący swoje krzywdy.

Rys. Aleksander Kobzdej

— To przez naszą niedojrzałość opóźnia się reforma, obszarnicy nie są tacy mocni — dorzucił drugi. — Naprawdę tak myślicie? — zapytał ten z kadry.

Było cicho, sykały gałązki i bawół pod prętami podłogi sapał jak lokomotywa na stacji.

Rodzina musiała być uboga, bo na ołtarzu przodków, skromnej półeczce zawieszanej na plecanych sznurach, stała prosta miseczka pełna popiołu. W nim tkwiło pięć nadpalonych troliczek. Wyżej skręcony zwitek papieru z wypisanymi nazwiskami zmarłych:

— Oni się pchają do wszystkich urzędów. Oni ciągle więcej od nas wiedzą. Lepiej piszą. A my robimy błędy.

Poparto go ze wszystkich stron.

— A więc dochodzimy do wspólnego wniosku, że dzięki naszej opieszałości, skłóceniu, braku woli, posiadacze wciśnęli się w szeregi naszych organizacji, do urzędów i teraz bronią swoich, a nie naszych interesów. Co trzeba zrobić, żeby wyléc z biedy? Jaką politykę wykonać? Co zrobić z wrogami, którzy nam na karku siedzą? Przecież to my musimy wykonywać wskazania prezydenta Ho, jeśli to ma być nasza polityka. Musimy się zjednoczyć i przejąć swoje prawa. Zmusić wyzyskiwaczy do obniżki opłat dla dzierżawnych, do obniżki opłat za wypożyczenie bawołów.

— Musimy być silni. Działać razem, tak jak pracujemy razem — odpowiedział młody — jednak myśleć, jednak pragnąć.

— Czy wystarczy jak najbiedniejsi się będą wspierać?

— Nie. Muszą nam pomóc wszyscy co nas znają, rozumieją i chcą poprawy: średniacy, kupcy i inteligenci...

— I ci, z dalekich krajów, którzy już są wolni — powiedział młody chłopak w naszą stronę.

Była cisza. No. owakim gorączkowo.

— No, nikt więcej?

— Ja — zaczął stary chłop, który się jeszcze nie odzywał, tylko bulgotał cybuchem fajki — ja jestem tego samego zdania...

— Jakiego?

— No, tego co on — pokazał cybuchem na młodego.

Kilku się zaśmiało w ciemności.

— No, a wy dziewczęta? Milczały, odwracali twarze. Krył się w półmroku, bojąc się, że je wywoła po imieniu.

Phan Thi Ann szepnęła:

— Kobiety z mniejszości Man są dość nieśmiałe... Mało mówią...

— Żeby walczyć z obszarnikami, trzeba mieć swoich ludzi w rządach, w radach prowincjonalnych, trzeba pilnować polityki...

— Jeżeli znamy wskazania, łatwo pochwycić rękę, która mać...

— Cobyście zrobili, żeby zdobyć fort, jeśli nie macie zbyt wiele sił i broni? — zapytał przewodniczący.

— Trzeba dobrze obmyśleć atak!

— Poznać słabe strony wroga!

— Trzeba dowiedzieć się o tych, którzy już brali udział w takiej walce...

— Najlepiej byłoby mieć klucze do fortu!

Roześmiali się głośno. Ale członek kadry powiedział poważnie: — To nie jest głupie. Do ataku trzeba: broń, siłę, doświadczenie. Ale skąd to wziąć?

— Biedaków jest dosyć, z nich siła armii, kadra wyjaśni i poprowadzi — odpowiedział pośpiesznie przewodniczący — wszystko pójdzie gładko!

Ten z kadry przerwał: — Boję się, że nie!

Zdrowy, głośny śmiech przetoczył się po izbie.

— Fort jest w waszej wiosce. Więc co dnia musicie walczyć. Kto wami dowodzi? — Związek Chłopów i towarzysze z komórki partyjnej. Najliczebnia armia bez

— Samiście mówili, że tam mają swoje wpływy wyzyskiwacze. Związek jest tu, we wiosce, waszą siłą. Musi bronić waszych interesów. Macie w zarządzie związkowym ludzi, którzy waszą sprawę zdradzają, służą bogatym. Trzeba ich wyrzucić i zastąpić wami — mówili dobitnie. — Musicie dobrze im się przyjrzeć, wielu mówi, że wam służy, bo się was boi...

— Oni nami gardzą — odezwała się wynędzniała, schorowana kobieta.

— Trzeba ich otrząsnąć jak zgniłe owoce!

— A jeżeli to nie są owoce, tylko szpaki i strąsnięte przesiadające się na wyższą gałąź? — odezwał się sztycher glos.

— Nie bój się — odwrócił się gwałtownie młody — strzała sięga wyżej!

— Przetrząńście wasze zarządy jakbyście przesiewali ryż, wydmuchajcie piękwy!

— Jak to rozumiecie?

— Zebyscie się nie schodzili jak gapie na odgłos bębna, trzeba myśleć o sobie...

— Jasne.

Nad ogniskiem wisiała krata z drgającymi frendzlami sadzy. Stały tam tykwy pełne herbaty, jakieś blaszane pudła, to wysuszone, co miało uchować się suche.

Pod krokwiemi dachu, jak śpiące nietoperze wisiały woreczki z ryżem, owinięte w liście palmy wachlarzowej. Widziałem ich długi szereg w rozbiłyńcu płomienia.

— Jeszcze jedno pytanie — zaczął ten z kadry — dobrze?

— Dobrze, jeżeli krótko. Mamy gości zagranicznych — pokazywali na nas — oni nie przywykli tak długo siedzieć w kucki...

— Co myślicie o pracy przewodniczącego?

— On dobrze prowadził. Dużo mówił, prawda kobiety? — odezwał się stary z fajką.

— Tak — odpowiedział chórem.

— I wysię już nic nie potrzebowaliśmy odpowiadać. On to robił za was.

— Przyznaję się, że nie prowadził dziś dobrze zebrania — tłumaczył się przewodniczący — ale pytania są trudne, a nasze przygotowanie niewielkie... Na przyszłym zebraniu, wybieracie starego — pokazał ręką, na tego z fajką — ja idę z nosicielami, mój brat zachorował i muszę go zastąpić... Zapamiętajcie dobrze o czym się będzie mówić, zebyscie mi powtórzyli, nie chcę nie stracić.

Członek kadry streszczał wykład: Żeby nie być biednym, muszę znać przyczyny biedy, znać drogę do polepszenia bytu, poszukać sobie towarzyszy, związać ich w organizację, stworzyć siłę zdolną do jednolitego działania. Praktyczne wskazania dla was: przyjrzeć się uważnie członkom zarządu Związku Chłopów w waszej wsi i wyszukać innych na miejsce tych, którzy zapomniaли komu służyć.

Schodziliśmy ostrożnie po drabinie. W świetle latarki znalazłem sandały z opony. Z odrzą brnąłem korytem potoku. Phan Thi Ann tłumaczyła dokładnie: — Zapomniałem jeszcze dodać, on na koniec powiedział: „Przychodźcie wszyscy naraz jak usłyszycie kołatkę. Dziś nie robie wam wymówek ze względu na gości, którzy są niezwykle punktualni...”

Pomyślałem o naszych zebraniach i musiałem się uśmiechnąć.

Wojciech Zukrowski

JÓZEF PRUTKOWSKI

S a t y r y k

Gdybym był Gogolem, gdybym był Szczedrynem,
Tobym nie wyśmiewał radia, czy łysiny,
Ani na Wuzecie braku ubikacji,
Ani też kociaków z modnej restauracji.

Gdybym był Szczedrynem, gdybym był Gogolem,
W stołówce bym włosy nie łowił w rosole,

Nie biłbym „Świerszczyka“ częstym, gęstym rymem,
Gdybym był Gogolem, gdybym był Szczedrynem.

Nie lechtałbym fraszką pana recenzenta,
Który gdy ją czyta, sam ze śmiechu pęka

Nie wierząc po prostu, że jakiś anonim
Tę fraszkę złośliwą pisał właśnie o nim.

Ale bym uderzył z adresem z nazwiskiem
Tego dygnitarza, który już nam wszystkim

Obrzydl dokumentnie, znudził nas doszczętnie
Ukiłbym go rymem, niech nareszcie pęknie.

Lecz od wiosen wielu on wciąż na fotelu
Więc biję aluzją — „Baśnią o śmierdzielu“.

Celuję znad biurka nienabita fuzją,
Cieniutką aluzją za grubą żaluzją.

Uderzyć publicznie? Nie, przeszczeakać wolę,
Nie jestem Szczedrynem. Nie jestem Gogolem.

„Zachód w naszych oczach“

„Pragniemy zostać odkryci“

Towar pod nazwą Amerykanie zyskał sobie w latach powojennych odpowiednio złą sławę na przychylnie początkowo nastawionych światowych rynkach zbytu. Stało się tak dlatego, że zawiódł on całkowicie nadzieje swych odbiorców, co w konsekwencji spowodowało systematyczny spadek istniejącego nań popytu. Fakt ten, zbyt wyraźnie rzucający się w oczy, by mógł ujdąć uwadze Departamentu Stanu, a zwłaszcza skupionych przy nim finansistów, spowodował konieczność przeprowadzenia na szeroką skalę pomyślanej operacji, którą można by w skrócie nazwać „fartbowaniem lisa“. Manewr miał polegać na przekonaniu mieszkańców kuli ziemskiej o tym, że butni okupanci, współdziałający z rządem poszczególnych państw na szkodę walczących przeciw nim narodów, to ludzie pełni dobrej woli, wrodzonej miśmialości, marzycielskich skłonności, niestudnie krzywdzeni przez powszechną złą opinię.

Ten „misionarski“ trud krzewienia wiary w „prawdziwego“ Amerykanina złożono na barki starannie dobranej zespołu redakcyjnego, któremu zlecono wydawanie pisma „Perspectives“), ukazującego się w New Yorku oraz w stolicach i językach wszystkich państw Paktu Atlantycznego. Oficjalnie miesięcznik ten, poświęcony sprawom kultury, informować ma zagranicę o rozwoju sztuki, literatury i muzyki USA. Istotne jego zadania charakteryzuje najbardziej artykuł pani McCarthy, zamieszczony w numerze drugim.

„Pragniemy, żeby spojrzano na nas bez uprzedzeń“ — pisze autorka —

*) Miesięcznik wydawany przez fundację Forda, przeznaczony dla inteligencji.

NOWOŚĆ

W 83 rocznicę marcowej rewolucji paryskiej 1871 roku ukazał się

ALBUM MONOGRAFIA

KOMUNA
PARYSKA
1871

Przeszło 370 niezwykle interesujących reprodukcji dokumentalnych z czasów Komuny oraz okresu poprzedzającego rok 1871 we Francji pozwala odzwierciedlić przed czytelnikiem bohaterstwo i poświęcenie, jakie cechowały rewolucyjny zryw ludu paryskiego. Piękne, artystycznie opracowany album ukazuje szczegóły doniosłą rolę jaką w Komunie Paryskiej odegrali Polacy z Jarosławem Dąbrowskim i Walerym Wróblewskim na czele.

Obszerny wstęp krytyczny napisał Zygmunt Mońtelewski. Całość uzupełnia kolorowa plansza zawierająca współczesny plan Paryża, na którym oznaczono przebieg bohaterskiej walki Komunistów. Cena albumu w pięknej oprawie z tłoczeńami i obwolutą zł 60 —

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA
OBRONY NARODOWEJ

k 2150-1

JÓZEF PRUTKOWSKI

Do cynika

Nie pomogą jamby i trocheje
Z próżnego i Salomon nie naleje.
Nie pomoże dokładna cezura —
Kiedy nad wierszem ziewa cenzura,
Kiedy stary zecer i metrapaź
Oceniają z rezygnacją: — sztampa-ż.
Nie pomogą cytaty z Gogoli,
Kiedy sprawa razi cię nie boli.
Przed wiekami, jeśli się nie mylę,
Nie byłaby Zola: za ile?
Choć nie braknie wierszyków z puentą,
Ale braknie talentu, talentu.
Więc twój wierszyk „Bohaterskie Zabrze“
Czyta tylko żona i dwaj szwagry.
Cóż, żeś wcisnął się do antologii?
Twórczość twa ma nogi krótkie obie.
I tę, którą kopiesz skromnych, młodszych,
I tę, którą pisujesz trzy po trzy.

Bajeczka o dziwnym psie

Motto:

„Był raz sobie dziwny pies,
Który bardzo lubił bez...“
(Z pieśni gminnej)

Był raz sobie dziwny pies,
Który bardzo lubił bez
Uciążliwego bagażu
Wydrapywać się od razu
Na same szczyty nauki.

Pytały go mądre kruki
Czy umie grekę do tyła
Aby przekładać Eschyla?
Czy też łacińską nie przyda-
łaby mu się do Owida?
Jak — nie znając francuskiego —
Pisze wstęp do Rabeliego?

Dziwny pies tak im odrzekł:
„Mam pewne braki, nie przeczę,
„Ale mądrzy od człowieka,
„Bo — kto z nas goło obczeka?
„Ostry głosik Pan mi da!“

I na dowód szczeknął:
„Miau!“

MALY JASIO

W KINIE I GDZIE INDEJ

Dwunasta za godzinę



„Oplakanie można nieskończenie“ — rozpoczął swoją recenzję z zeszłorocznej wystawy plakatu jeden z krytyków. Było z tym zdankiem masę uciechy, ale rzeczywistość zdarzającą się

tematy, o których można nieskończenie. Do takich należy „Rzym godzina 11“, nowy film reżysera włoskiego Giuseppe De Santisa. Można pisać o jego roli w rozwoju filmu włoskiego, można o ciekawej drodze twórczej De Santisa, można jeszcze inaczej. I byłoby istotnie trudno wybrać punkt wyjścia do felietonu, gdyby nie jedna okoliczność — ukazanie się prawie równocześnie z warszawską premierą „Rzymu“ komentarza do tego filmu w postaci drukowanego w „Filmie“ artykułu scenarzysty włoskiego Cesare Zavattiniego. Artykuł ten, jedna z najcenniejszych pozycji w tygodniku „Film“, wzbudził poważne zainteresowanie, ale wywołał też kilka nieporozumień.

Zacznijmy od początku. Jeśli istnieje wśród szerokiego rzesz naszych twórców i odbiorców filmu jakiś ideał artystyczny w tej dziedzinie, to wyznaczają go przede wszystkim dwa środowiska, dwie szkoły — radziecka szkoła z lat trzydziestych i realistyczna szkoła włoska. One to stanowią miarę,

którą przykładamy najczęściej do naszych poczyną filmowych, nimi mierzymy nasze osiągnięcia. Tylko że nie zawsze umiemy posługiwać się tym łokciem.

W filmie włoskim ideał estetyczny upatrzyć się głównie w dwóch elementach — w dziedzinie dramaturgii i w dziedzinie tego co ogólnie nazwać można „krajobrazem filmowym“, tzn. w traktowaniu pleneru, obserwacji ulicy i obserwacji ludzi na ulicy. Dostrzegając niezaprzeczalne fakty, takie, jak odejście kinematografii włoskiej w najlepszych jej dziełach od fikcyjnej literackiej fabuły narzecz autentycznego faktu społecznego. Jak odkrycie przez Włochów powszechnego obrazu swego kraju i jego mieszkańców, doprowadzając niektórych ze spostrzeżenia do skrajności, wypowiadając się przeciwko wszelkiej dramaturgii i organizacji materiału fabularnego i przeciwko sztuce aktorskiej na rzecz zewnętrznej obserwacji ludzi z ulicy, na rzecz „naturalistycznej“. Artykuł Zavattiniego pozornie sankcjonuje te skrajności. Zavattini wypowiadał się za bezpośrednią obserwacją faktów życiowych przeciwko wykoncypowanej, literackiej fabule. Zavattini napisał: „w filmie neorealistycznym aktor jako osoba,

STANISŁAW ZIEMBICKI

ZIMA W ZAKOPANEM

Na świerkach kwiaty wiśni,
Łód na Czerwonych skrzy się.
Kto piękniejsze wymyśli,
Kto wyższe wierchy napisze?

Jadą sanie i dzwonia,
Ośnieżone skowronki,
Gazda porusza dłonią
I dolicza za dzwonki.

Mówi: „Pan widzi ten widok?
To rzecz niepowtarzalna.
Niech pan ogląda, bo przyjdą
Drudzy i będzie halniak.

Halniak, panie, to wicher,
Co wszystkie drzewa porusza
I glazy zrywa, lecz nigdy
Nie zerwał mi kapelusza...“

Słońce idącym świeci,
A nie ma śladów niczych —
Chodzą po śniegu faceci
Z kandaharami na szyi.

W kawiarni zmarzło źródelko,
Lampa się świeci słabo.
Tam roztrzasała żdziebelko
Nad Wielką Czarną Kawą.

I nagle piorun. On wchodzi,
Opalony jak ogień.
Ręce chcą klaskać. To młodzian,
Co jeszcze nie złamał nogi.

A jutro świt. Jutrzeńka.
Kto raz ją w górach zobaczył
Nie zaśnie, jak panienka,
Której ojciec przebaczył.

O zorro, jak patrzaniem
Do wiersza cię zaprosić.
Nie tykać twych promieni,
A na ramieniu nosić...

Gdy zmęczy mnie patrzenie
Odwrócę się, odpoczne.
Serdeczne pozdrowienie
Skreślę w szumiącej poczie.

I wracać będę rzewnie
Jak rozłączona parka.
Lecz wiatr mi płaszczy odepnie
I włosy mi potarga.



Rys. Janusz Stanny

jak to sobie niektórzy wyobrażają. Nie zanika konstrukcja dramatyczna, dzieje bezrobotnych budowane są na zasadzie przemysłowej linii fabularnej, prowadzącej do zdecydowanych punktów. Nie brak nawet tego, co nazywamy często ograniczoną sytuacją literacką, np. jak miłość bogatej panny (wg. Zavattiniego bogactwo nie polega na posiadaniu pieniędzy, ale na możliwości powodowania ucisku i niesprawiedliwości) do uboższego malarza ubrew zgodzie rodziny. Zdałoby się — banal, ale sytuacja taka jest możliwa, rzeczywista. „W rzeczywistości banal nigdy nie istnieje“ pisze Zavattini. Tak więc to nieprawda, że zwrot do faktu autentycznego do rzeczywistości oznacza zanik dramaturgii lub nawet uświęconej sytuacji literackiej. Zwrot ten oznacza jedynie podparcie tych sytuacji prawdą życiową, szukanie dla nich akceptacji w życiu; jeśli życie potwierdza prawdę sytuacji, tylko talmudysta upierać się będzie przy zasadzie dla zasady.

„Rzym godzina 11“ jest filmem w stu procentach aktorskim. Wszystkie prawie gwiazdy włoskiego ekranu zostały zgromadzone w tym filmie, pomimo, że jego scenarzystą jest „wrogi aktora“ — Zavattini. Trzeba jednak pamiętać, że mówiąc o odrzuceniu aktora Zavattini pisał o wyborze takich tematów, które aktora nie wymagają. Jednocześnie w swoim artykule stwierdził: „Neorealizm nie odrzuca badań psychologicznych. Psychologia należy do życia i traktuję ją tak, jak każdą inną dziedzinę rzeczywistości“. Czyż człowiek z ulicy, „naturalistyczny“ zagra w filmie scenę psychologiczną? — Uda mu się to raz na sto wypadków.

Nowy film De Santisa wg. scenariusza Zavattiniego odpiera nieporozumienia, jakie wyniknąć mogą z błędnego rozumienia istoty neorealizmu włoskiego. A błędy w tej dziedzinie są dlatego groźne, że dotyczą ściśle spraw naszego ideału estetycznego. Pojawienie się „Piątki“, szansa na szereg nowych filmów polskich stawia sprawę idealu, sprawę kryteriów oceny szczególnie jasnowo. Nie mamy jeszcze krystalizowanych pojęć w tej dziedzinie. Od „godziny dwunastej“ dzieli nas film jeszcze długa, trudna godzina. W dotychczasowych dziełach wyławiamy, szukamy tych elementów, które mogą stać się tworzywem realistycznego filmu polskiego, jak kamiki są tworzywem mozaiki. W tym wyborze nie wolno się mylić, bo obraz okaże się szpetny.

Krzysztof T. Toeplitz

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 8 86-11, 8 14-41, w. 75, 8 00-81 w. 4. — Red. naczelny 8 79-38. Adres administracji Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 00 21 Wydaje RSW „Prasa“ Kolportaż: P P K „Ruch“, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8 04 20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze w większej. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmują Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa“ Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-111-5589, tel. 8 23-09. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Zakłady Drukarskie i Włóknodrukowe RSW „Prasa“, Warszawa, Marszałkowska 3/5.

A-B-12199